

Mazurówna Krystyna

Moje noce z mężczyznami



WPROWADZENIE

Zamiast tradycyjnego - napszonego i konwencjonalnego - wstępu Czytelnikom tej książki należy się lekkie wprowadzenie.

„Moje noce z mężczyznami”? Rzeczywiście tytuł zbioru moich nowelek może być nieco mylący. Można by się spodziewać, że roztoczę przed Wami wachlarz przeżyć intymnych, opiszę jakieś sceny erotyczne, wlepię może nawet kilka kawałków porno - a tu nic takiego. Owszem, wszystko utkane z własnych przeżyć, całość autentyczna. Słowo daję, że każdy fragment, który opisuję, jest fragmentem mojego życia, że to zdarzyło mi się naprawdę. Ale wszystkie te historyjki, wszystkie te opowieści są kompletnie przyzwoite. Po prostu nieprzyzwoicie przyzwoite!

Zawiodłam Was? Tym lepiej dla mnie! Słowo się rzekło, kobyłka u plotu. Kupiliście już tę książkę, za późno na reklamacje.

Opisałam historie, które naprawdę mi się przytrafiły - noce, które spędziłam z kilkunastoma mężczyznami. Wszystkie były przypadkowe.

Dziwicie się, jak to możliwe? Nigdy Wam się nie zdarzyło przesiedzieć nocy z obcym mężczyzną w zepsutej windzie? Albo w poczekalni na dworcu? W lesie? Na opuszczonej budowie? W obcym domu, w którym zamek w drzwiach się zaciął? Nie?

Mnie też akurat te historie się nie przydarzyły. Przydarzyły mi się za to inne. Wszystkie były podobne do siebie tylko z jednego powodu - spędzałam je z mężczyznami, z którymi nic mnie nie łączyło.

Oprócz tej jednej nocy.

ŁAZIENKI

Pierwszy mężczyzna, z którym spędziłam całą noc sam na sam, nie był takim znowu prawdziwym mężczyzną.

Wyrostek, trzynastolatek o bujnych, czarnych kędziorach i wielkich oczach. Tak jak ja postanowił poświęcić życie dla sceny. Spotkaliśmy się na lekcji tańca ludowego w szkole baletowej przy warszawskiej alei Niepodległości. Rok był - wstyd powiedzieć - 1952, a może nawet 1951. Szkoła w baraku, profesorzy mniej lub bardziej z prawdziwego zdarzenia, a lekcje odbywały się wieczorami, po zajęciach w szkole podstawowej.

Biegałam do tej szkoły codziennie i codziennie spotykałam tego jednego jedyne go chłopca - Dariusza.

Szybko został moim partnerem do cwału krakowskiego, hołubców i krzesanego. Po zajęciach odprowadzał mnie do domu, dżentelmeńsko taszcząc moją torbę z akcesoriami baletowymi. Szliśmy pieszo. Mimo zawieruchy, śniegu i mrozu dziarsko przemierzaliśmy Rakowiecką, Puławską do placu Unii Lubelskiej, Marszałkowską - żeby wylądować na dalekiej Raszyńskiej, przy której mieszkalam z rodzicami. Tak nam było ze sobą dobrze, tak wiele mieliśmy sobie do opowiedzenia, że pod moim domem zawracaliśmy. Odprowadzałam go do domu dziecka na Rakowiecką, gdzie mieszkał, ale potem znowu zawracaliśmy w stronę Raszyńskiej. I tak w kolo Macieju do późnego wieczora.

Do tańca ciągnęło go od zawsze. W domu dziecka, w którym mieszkał, budziło to powszechne zdumienie. Taniec? Po co? Przecież to nie zawód dla chłopaka! Nie lepiej naprawiać samochody albo zająć się krawiectwem? No bo co innego może robić chłopak wychowany w domu dziecka?

Szkoły rzeczywiście nie znosił. Jak ja. Nienawidziliśmy codziennego wstawania, siedzenia godzinami w ciasnych ławkach z rękami założonymi do tyłu i wkuwania niepotrzebnych, jak nam się wtedy wydawało, rzeczy.

Skąd się wzięła moja awantura z tańcem? Dobrze pamiętam! W ramach zwierzeń postanowiłam mu o tym opowiedzieć. Dochodziliśmy właśnie do placu Unii.

Od pierwszej chwili, pierwszej wizyty w teatrze, od pierwszego obejrzanego baletu wiedziałam, że jest to źródło intensywnych przeżyć, a o to właśnie chodzi mi w życiu. Miałam ledwie trzy lata, ale do dziś pamiętam to pierwsze uniesienie, tę tajemniczą euforię. I do dziś uwielbiam ten moment, kiedy kurtyna rozsuwa się albo idzie w górę. We wszystkich krajach świata biegam na wszystkie możliwe spektakle teatralne, żeby przeżyć tę właśnie chwilę. I nawet jak potem oglądam chałę - nie żałuję. Wiem, że się opłaciło - dzięki tej magicznej minutce, kiedy jeszcze nic nie wiadomo i kiedy wszystko wydaje się możliwe.

Skręciliśmy w kierunku Alej Ujazdowskich. Opowiadałam dalej. O spektaklu baletowym, który zobaczyłam w moim rodzinnym Lwowie - dyrygował Sylwester Czosnowski, tańczyły dwie siostry: Zosia Michna i Bogusia Michna-Czosnowska. Był też tancerz Milon, który - nie mogłam tego pojąć - zamiast spodni miał białe rajtuzki. Jak dziewczynki w niedzielę.

Wszystkie tańce mam przed oczami. Menuet przy zegarze, jakieś pas de trois z Milonem, a zwłaszcza taniec w opadających płatkach śniegu, gdzie rolę bałwanka grała starsza siostra, podczas gdy młodsza, Zosia, tańczyła w króciuteńkiej, nastroszonej spódniczce. Na samych czubkach paluszków!

Ten wieczór w teatrze zdecydował o całym moim życiu. Po powrocie do domu obie z siostrą postanowiłyśmy zostać tancerkami. Ćwiczyłyśmy w domu przed lustrem i co wieczór urządzałyśmy domowe spektakle.

I tak to moje życie spędziłam na scenie. Najpierw swojskiej operowej, potem - na scenach paryskich. Tańczyłam w spektaklu z Tino Rossim w teatrze Mogador, uczestniczyłam w ostatniej rewii Josephine Baker,

byłam solistką w słynnym Casino de Paris. Miałam własne zespoły: w Polsce zespół tańca jazzowego Fantom, w Paryżu - Ballet Mazurowna. Dopiero po pięćdziesiątce zrealizowałam marzenia tatusia i zamiast zarabiać na życie nogami, zaczęłam głową, pisząc.

Oczywiście wtedy, podczas spaceru z Darkiem niosącym mi tornister, nie miałam pojęcia o tym wszystkim. Doszliśmy do Łazienek. Nie było jeszcze bardzo późno, postanowiliśmy wpaść tam na chwilę i przejść się po alejkach.

- Wiesz, chyba zawsze będziesz jedyną osobą, która mnie rozumie

- wyznał. - Od pierwszej lekcji, kiedy pani Teresa Dobrowolska postawiła mnie obok ciebie, poczułem, że jesteś jedyną dziewczyną, z którą mogę mieć wspólnotę duszy. Bo czy to moja wina, że podobają mi się mężczyźni? O, zobacz, ten, co tam idzie!

Z głębi parku wychodził szybkim krokiem przystojny młodzieniec. Chyba poczuł, że o nim mówimy, bo podszedł w naszym kierunku. Odruchowo wyprężyłam piersi, które mi jeszcze nie wyrosły, i podniosłam ku niemu głowę.

- Dzieciaki! Wynocha stąd, za chwilę zamkną wszystkie bramy! Ale już!

Urażeni skierowaliśmy się ku wyjściu. Jednak na zewnątrz zatoczyliśmy tylko wielki łuk, by znów przez bramę wejść do parku. Zaczęło się robić szaro, było tajemniczo i romantycznie.

- Wiesz, Krysiu, byłem nawet u lekarza - rozchylił rozpiętą koszulkę.

- Zobacz, czy mi czasem nie rosną piersi? Co ja zrobię? Lekarz nakrzy-czał, że to grzech i świństwo, a przecież ja nie chcę być wstrętnym pedałem! Ale gdybym się z tobą kiedyś ożenił, nikt by mnie już nie podejrzewał - łzy zaszkliły mu się w czarnych oczach.

Chcąc jakoś zmienić temat, postanowiłam wyłożyć mu moje teorie życiowe: nauka historii tancerce jest kompletnie zbędna, tabliczka mnożenia ewentualnie może się przydać, ale na pewno nie pierwiastki che-

miczne. Kiedyś, przechadzając się z tatą, jak zwykle zatopionym myślami w problemach matematycznych, przedstawiłam mu moje projekty:

- Przestanę chodzić do szkoły, bo i tak będę tancerką. Muszę skupić się na przyszłym zawodzie. Dobrze, tatusiu?

- Taak... Czy ci nie zimno, córeczko? - rzucił roztargniony.

- Nie zimno. Więc od jutra będę chodzić tylko na balet. Poproszę profesora Dąbrowskiego, żeby pozwolił mi też ćwiczyć z dorosłymi. A w domu nadal będziemy z Basią robić przedstawienia. Pamiętasz, jak dozorczyńni przyszła ci gratulować, gdy w „Dziewczyńce z zapalkami” zagrałam aniołka? Pamiętasz?

- Tak, tak. Nie jesteś głodna? Może ci kupić ciasteczko?

Nie chciałam ciasteczka! Chciałam tańczyć! Nudził mnie Kraszewski, „Stara baśń” wydawała mi się strasznie stara, nauka historii jakaś bez sensu, a moja pani od matematyki nie mogła prawidłowo rozwiązać zadań - zawsze to ja pierwsza obliczałam, kiedy zderzą się te dwa pociągi w basenie z wodą...

- Więc nie będę już chodziła do szkoły, dobrze, tatuńciu?

- Dobrze, dobrze, Kryseczko, już wracamy do domu.

Oboje uznaliśmy sprawę za załatwioną (choć nie była to ta sama sprawa).

Od następnego dnia rozpoczęłam więc własny program edukacji: dość szkoły, jak najwięcej tańca - w domu, na prywatnych lekcjach, całymi dniami. Usiłowałam nawet spać w szpagacie, żeby organizm się przyzwyczaił. I trochę innych zajęć: wizyty w ogrodzie botanicznym, wycieczki do muzeum, nieporadne rysowanie. W domu jakoś nikt się nie zorientował. Mama była zajęta gotowaniem, a tata - matematyką. Przeprowadzaliśmy się zresztą kilkanaście razy i nawet nie znałam adresu najbliższej szkoły.

- Ale miałaś fajnie! Mnie pchali siłą, spałem na lekcjach, miałem same dwójki, ale musiałem chodzić. A jak się skończyło? - zapytał

Dariusz. Byliśmy już na dole Łazienek, tuż przy stawie. Na wyspie połyskiwały kolumny otaczające letni teatr. Ściemniało się.

Jak się skończyło? Któregoś słonecznego dnia tatuś wreszcie się zorientował: - Na ulicach pełno dzieci, jakieś wszystkie rozradowane... No tak, przecież to koniec roku! A ty, Kryseczko, dostałaś dziś cenzurkę?

- Jaaa...? Nie, bo dziś nie byłam w szkole. No... wczoraj też nie. Przecież ostatni raz byłam w szkole, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w poprzednim mieszkaniu. Przed Bożym Narodzeniem.

Tatuś przezornie powiadomił o problemie mamę (przybiegła z kuchni ze ścierką, żeby mi przyłożyć), a potem długo tłumaczył, że w Polsce jest obowiązek szkolny. I że nawet tancerka powinna wiedzieć to i owo. Wreszcie jako koronny argument wytoczył groźbę, że kiedy on umrze, ja - głupolek - zostanę nie tylko zupełnie sama, lecz także bezradna. Bo jako nieuk pewno nie dam sobie rady w życiu. Zalałam się łzami i szlochając, obiecałam, że nadrobię ten stracony rok. I że już zawsze będę pierwszą uczennicą.

Rzeczywiście, nadrobiłam. Cztery lata później przeskoczyłam klasę, zdając egzamin ze wszystkich przedmiotów. Stałam się kujonem, nawet na maturze miałam same piątki. Chociaż nie, nieprawda! Z rysunków i śpiewu były czwórki (naciągane).

Człapałam obok Darka raptem głodna i zmęczona. Zrobiło się zupełnie ciemno, byliśmy sami w strasznym już teraz parku. Odechciało nam się rozmów, pospiesznie skierowaliśmy się w stronę wyjścia. Ale metalowa brama, przez którą weszliśmy, była już zamknięta! Najpierw chcieliśmy przeleźć przez płot - tyle że to nie jakiś tam zwykły płot okalał Łazienki, ale porządne, wysokie ogrodzenie nastroszone szpikulcami. Zła i przestraszona zaczęłam w myślach robić wyrzuty Darkowi, że nie umie znaleźć wyjścia z trudnej sytuacji...

- Taka mądrała, pierwsza uczennica, a nie umie znaleźć wyjścia z trudnej sytuacji! - wypalił, chyba czytając w moich myślach.



W duecie z Witoldem Grucą,
moim pierwszym partnerem
na scenie



Mój zespół Fantom. Pierwszy z prawej Gerard Wilk,
a ja – jak zwykle – umieściłam się obok niego



Ja i Dariusz – wtedy
myślałam, że tylko z nim
będę tańczyć całe życie



Darek.
Już wtedy przystojniak,
prawda?

Postanowiłam iść wzdłuż ogrodzenia - a nuż gdzieś będzie jakieś inne wyjście, jakaś zapomniana bramka, jakaś dziura, przez którą uda nam się wydostać? Brnęliśmy po roztopionym śniegu. Lewą stopę miałam zupełnie moką, Darek narzekał, że mu zimno, dygotaliśmy i nie mieliśmy już ochoty do wędrowania. Próbowaliśmy usiąść na ławce, by trochę odpocząć. Noc na szczęście nie była zupełnie czarna, choć sylwetki drzew i tak wydawały się przerażające.

- Najgorszego ci jeszcze nie powiedziałem - przytulił się do mnie nie tyle erotycznie, ile zziębnięty. - Mieszkam w domu dziecka, bo jestem sierotą. Nawet nie sierotą: po prostu znajdują, podrzutkiem. Nie wiem, kim byli moi rodzice. Ale to jeszcze nie jest najgorsze: robili mi badania i chyba mam jakieś straszne cechy. Boję się, że jestem Żydem... Nie mów nikomu, błagam cię! Co ja mam zrobić, jak ja będę żył? Niczyj, Żyd, a do tego pedał. Albo się zabić, albo...

- Albo ccco? - wydukałam przez szczękające z zimna zęby.

- Albo uciec stąd. Za ocean. Podobno tam nie jest to karane. Mógłbym zostać tancerzem, nawet choreografem, żyć sobie, jak i z kim by mi się podobało - rozmarzył się...

Obudził nas terkot silnika przejeżdżającej alejką syrenki. Jakiś pan w kapeluszu otworzył okienko i krzyknął: - A wy tu czego?! Gzicie się czy jak?! Szybko won z parku, tu nie burdel! Jak to: brama zamknięta?! Na dole, przy budynkach gospodarczych, jest wjazd dla dostawców, otworzyli już o piątej! Wynocha!!!

Było wpół do szóstej. Przerażeni popędziliśmy w stronę wyjścia dla dostawców. Darek bał się, że będzie miał problemy w domu dziecka, ja też nie byłam pewna reakcji rodziców. Teraz każde z nas, jakby zawiedzione tą wspólnie spędzoną nocą, myślało tylko o sobie. Potem już nigdy nie wracaliśmy razem do domu.

Za karę Darkowi nie wolno było przez tydzień przychodzić na lekcje baletu. U mnie w domu nikt nawet nie zauważył mojej nieobecności.

Nie tak sobie wyobrażałam pierwszą noc, którą spędzę z mężczyzną. W moich marzeniach miały być zapewnienia o wiecznej miłości, romantyczne pocałunki i uniesienia, jak u Tristana i Izoldy. A tu coś takiego...

Jak potoczyły się losy Darka?

Uciekł. Jakoś to sobie załatwił i parę lat później rzeczywiście wyjechał do Nowego Jorku. Mieszkał tam przez długie lata ze swoim polskim partnerem. Potem był tancerzem, choreografem i dyrektorem baletu w Izraelu. A potem - profesorem tańca na Lazurowym Wybrzeżu, w prestiżowej szkole w Cannes. W czerwcu 2011 roku spotkaliśmy się w Nowym Jorku - jest profesorem w czterech tamtejszych szkołach baletowych. Asystowałam przy jednej z jego lekcji.

Nie, nic się nie zmienił. No, może trochę - ma mały brzusek i białe włosy...

CIAŻA

Byłam w ciąży.

Byłam w pierwszej ciąży, z moim pierwszym dzieckiem. Już moje szczupłe dwudziestoletnie ciało zaokrągliło się znacznie, już jakieś ziewające lenistwo opanowywało mnie z każdym dniem coraz wyraźniej i nie miałam ochoty na nic oprócz spania i hodowania nowego człowieczka w moim ciele. Jednak zbliżał się właśnie sylwester wieńczący lata pięćdziesiąte, nadchodził 1 stycznia nowego roku 1960 i było nie do pomyślenia, ale to absolutnie nie do pomyślenia, żeby nie uczcić jak najbardziej godnie, jak najbardziej uroczyście tego wyjątkowego dnia. Koniec starego roku, koniec mego panińskiego bytowania, koniec - jakże krótkiego, bo ledwie co po maturze, ledwie co w pierwszym własnym mieszkanku, ledwie co zaczynającego się prawdziwą dorosłością - samotnego życia. Początek nowego, ważnego etapu: mam teraz być dojrzałą, niezależną i odpowiedzialną kobietą, mam być naprawdę dorosłą osobą. Mam być matką! A tu - trudno się zmieścić w którąkolwiek z obcisłych kiecek wieczorowych, biust jest już większy od piersi Jayne Mansfield, brzuszek zaś, początkowo seksownie ledwie co wypukły, zaczął najpierw ostrzegawczo sterczeć, a potem wywalił się bezwstydnie. Z ponętnej panienki zmieniłam się w ciągu kilku zaledwie tygodni w stateczną, ciężką matkę.

Autor tej mojej deformacji, czyli tatuś dziecka, przebywającego na razie w moim wnętrzu, przejęty sprawą potomka, sprawą sylwestra i ogólną powagą sytuacji, stanął na wysokości zadania. Nie szczędząc wysiłków, używszy niezbędnych znajomości i nie bacząc na wysokie koszty, zdobył dwa bilety na największy, najmodniejszy i najbardziej liczący się w owych czasach Wielki Bal Sylwestrowy w Filharmonii Narodowej. Miała być na nim tak zwana cała Warszawa, dlatego by nie stracić pozycji w artystycznym, intelektualnym i towarzyskim świątku stolicy, należało absolutnie się na nim pokazać.

Problem kiecki został wkrótce rozwiązany. Barbara, zaprzyjaźniona dyktatorka polskiego świata mody, wyciągnęła z własnej szafy długą,

luźną i powłóczystą szatę, w której miałam zaprezentować moje życiowe przemiany. Całe szczęście, bo moja ciasno opinająca bujne wdzięki sukienka (własnoręcznie spreparowałam ją z zasłony na okno), złożona głównie z dekoltu, do niczego już się nie nadawała. Nie było sposobu, bym w nią weszła.

Uroczysty wieczór był coraz bliżej. Jeszcze tylko kilka dni, jeszcze tylko kilka godzin! Wyprasowany pożyczony strój balowy czekał przygotowany na krzeselku, wyczyszczony naszyjnik błyszczał jak nowy, pudry, brokat i pajety gotowe do użycia leżały na stoliku w łazience. Zaczęłam szukać biletów na bal, które gdzieś w bezpiecznym miejscu schowałam, żeby się nie zgubiły...

Kryjówka była tak dobra, że w żaden sposób nie mogłam jej odkryć. Już przekopałam wszystkie szuflady, już przekartkowałam pół biblioteki, szukałam nawet pod stosami prześcieradeł w szafie... Bez rezultatu. Oprócz ukrytych dolarów, paru listów miłosnych i kilku kluczy nie wiadomo już co otwierających nie znalazłam nic godnego uwagi. W końcu, szlochając donośnie, wyznałam o nieszczęściu partnerowi.

Najpierw rzucił się wraz ze mną do drobiazgowych poszukiwań. Potem uciekł się do rozwiązania zastępczego - po kilkunastu telefonach staliśmy się szczęśliwymi posiadaczami zaproszeń na mniej ekskluzywny, ale za to bardziej malowniczy bal w piwnicach staromiejskiego klubu Manekin. Ale gdy z ledwie obeschniętymi Izami zabrałam się do przymierzania sukni, z rozpaczą stwierdziłam, że w ciągu ostatnich kilku dni mój brzuch powiększył się do monstrualnych rozmiarów! W szatę koleżanki, niedawno przecież jeszcze luźną, absolutnie nie mogłam się wcisnąć.

I znowu łzy popłynęły rwącym potokiem. Obwieściłam, że nigdzie nie idę, że życie nie ma sensu, że i tak musimy jak najszybciej się rozstać. I że uciekam do mamy.

Mama, mądra kobieta, najpierw mnie utuliła, potem wykapała i nakarmiła przypalonymi, najlepszymi na świecie ciasteczkami własnej roboty. A na koniec zaczęła powoli godzić mnie z życiem.

- Który mężczyzna by zniósł spokojnie te twoje fanaberie? Nic nie szkodzi, że Krzysztof nalega, żebyś zmieniła styl makijażu, czesania się i ubierania. Może rzeczywiście kobieta naprawdę elegancka powinna nosić spokojne kostiumy typu Chanel, a nie te przykrótkie spódniczki z wprawionym na dole kołem? To co, że właśnie dlatego cię poderwał? Może zadziałał duży, dobrze wypełniony dekolt i ten za ciasno ściągnięty w talii, szeroki pas? Ale teraz, jak już jesteście razem, pewnie wolałby mieć w domu reprezentacyjną, klasyczną damę. Że nie jesteś damą i nie chcesz nią być? Że nie chcesz zmienić nazwiska, bo się przywiązałaś? Że ci przykro, bo mu się nie podoba twoje imię i nazywa cię inaczej? Że wolisz nadal nazywać się Krysia Mazurówna, a nie Kasia Toeplitz? Ach, córuniu, jesteś tylko kobietą. Musimy przecież poddawać się woli królów istnienia - a przynajmniej udawać, że to robimy. Ani ci się śni? Nie masz ochoty? Hmm... A może masz ochotę na kogel-mogel? Zaraz ci utnę! Zobacz, piana stoi, że nożem da się kroić. Dosypię trochę czekolady w proszku - paluszki lizać...

Pogodzona z życiem za pomocą kogla-mogla zostałam odesłana do domu. Był już późny wieczór. Na ulicy mijałam pary spieszące na sylwestrowe przyjęcia. Długie suknie pań wlokły się po roztopionym śniegu, szpileczki brodziły w błocie. Każda z tych dam uczepiona była jakiegoś kawalera, tylko ja dreptałam samotnie, a ściślej - w towarzystwie wiercącego się w brzuchu potomka. Choć byłam zrezygnowana, postanowiłam jednak jeszcze na trochę odłożyć definitywne rozstanie z oczekującym mnie mężczyzną. I spędzić ten wieczór, jak wiele poprzednich, w jego towarzystwie. Pewnie znowu przy grze w wilka i owce...

Ale czekała mnie mila niespodzianka!!! Po powrocie do domu, mimo energicznego dobijania się, musiałam odstać kilka długich chwil przed zaryglowanymi drzwiami. Słyszałam przez nie jakieś tajemnicze szmery i odgłosy nerwowych przemieszczeń. Potem z zamkniętymi oczami zostałam przetransportowana do łazienki.

Mój pobyt w niej przeciągnął się do godziny. Już zadowolona i beztroska skorzystałam w pełni z chwili samotności. Zrobiłam sobie pełny makijaż teatralny, ze sztucznymi rzęsami, tęczą kolorów na powiekach i złotym deszczem brokatu na całej twarzy. Rozpuściłam moje długie blond włosy, obsypałam się pająkami i udrapowałam w obszerne prześcieradło kąpielowe niczym w togę.

W moim obecnym stanie był to jedyny strój, w którym mogłam jeszcze zachować pozory pociągającej piękności. Wyczyszczony, lśniący sztucznymi diamentami naszyjnik z Jablonexu dopełniał urody godnej królowej z bajki. Do północy brakowało już tylko dziesięć minut, a tu zza drzwi łazienki dobiegały mnie odgłosy czyichś pospiesznych kroków, jakichś dziwnych przygotowań, stukania młotka i przesuwania mebli. Wreszcie, pięć minut przed północą, usłyszałam: - Proszę pozwolić, Księżniczko, czekam na Panią!

- Jestem gotowa, Panie Baronie, bardzo mi miło! - odpowiedziałam, bo rzeczywiście było mi bardzo miło.

Już wiedziałam, że rodzina mego „męża nieślubnego”, jak określono go w meldunkach, ma (kupiony, kupiony!) tytuł barona.

To moje kopiające mnie w brzuch maleństwo też jest baroniątkiem?

Cale mieszkanie było przemeblowane, obwieszane serpentynami i obrzucone konfetti. Światło i zapach świec dopełniały niezwykłości nastroju. Wąskie stoliki, służące uprzednio jako podstawki do kwiatów, stały w równym rzędzie, tworząc tasiemiec zastawiony smakołykami. Dwa fotele umieszczone na dwóch przeciwległych krańcach tasiemca

sprawiwały, że cała ta aranżacja była iście królewska. „Księżniczka” z „baronem”, trochę onieśmieleni podniosłością nastroju i wagą chwili, po wymianie życzeń przeszli do konsumpcji. Łosoś na zimno, pieczona kaczka z borówkami, sałata z francuskim sosem, sernik z bitą śmietaną...

Jednak najlepszy był szampan. Od początku ciąży, dbając o zdrowie syneczka (wyrósł na niezłego alkoholika), nie wypiałam ani kropli alkoholu. Nawet wina, nawet łyżeczka piwa - nic przez te pierwsze miesiące. Ale tego wieczoru pozwoliłam sobie na mały kieliszek szampana. Delektowałam się nim, smakując każdą kropelkę niczym najbardziej wytrawny światowy smakosz. Tak, ten kieliszek jest najlepszym szampańskim wspomnieniem w moim życiu!

Już po pierwszych bąbelkach lekko zaszumiło mi w głowie. Rozmarzyłam się, nabrałam ochoty do snucia życiowych planów - już wspólnie z dzieckiem, które kopiąc energicznie moje wnętrzności, dawało dowody swego istnienia. I z jego ojcem.

Będę nadal tańczyć, nadal pracować w Operze. A może i poza nią? Może uda mi się załapać do telewizji? Tyle jest przecież programów rozrywkowych z tancerkami...

Chciałabym tańczyć z partnerem, w duecie. Prawdopodobnie spotkam Grucę lub Szymańskiego - to nasi najznakomitsi tancerze. A nuż jeden z nich zechce zatańczyć ze mną? Albo może któryś z młodzieńskich absolwentów szkoły baletowej okaże się nowym talentem i stworzymy razem baletową parę? Chciałabym też występować na dodatkowych koncertach, przecież są takie imprezy - choćby na Bielanach czy w na Młocinach, w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej na Foksal. A może wystąpię w wielkiej Sali Kongresowej?

Siedzący naprzeciw mnie mężczyzna okazywał niewiele entuzjazmu dla tych projektów.

- Ależ pieseczku, będziesz przecież prawdziwą panią domu, a w dodatku młodą mamusią. Zobaczysz, to ci wystarczająco wypełni życie.



Moja mama
i zupełnie nieznanomy
pies fotografa

Krynice 1956r.



Z mamą,
czule trzymamy się
za rączki

Nie musisz się martwić o pracę, ja zarabiam dosyć. Zresztą jedna gwiazda w rodzinie wystarczy! Ja muszę nadal tworzyć, jestem kimś, chyba to rozumiesz. A ty będziesz moim szczęściem, moim lustrem, moją podporą. Jak chcesz, możesz nauczyć się wreszcie gotować, koteczku, i prowadzić dom na europejskim poziomie. Zresztą postanowiłem zaangażować nurse do dziecka i służącą do sprzątania. Nie będziesz przepracowana, będziesz mogła tylko wydawać rozkazy i zajmować się domem!!!

- Domem? Dobrze, pewnie masz rację. Właśnie widziałam w Desie na Nowym Świecie, tej współczesnej, świetny stolik: niski, ze szklanym blatem, na jednej, wijącej się czarnej nodze... A co myślisz o me-błościankach? A o filmdruku? Można by go powiesić jako zasłonę.

- Nie, maleńka. Ja cię nauczę, co jest piękne. Z Desy - oczywiście, ale tylko tej starej, prawdziwe antyki. Przedmioty i meble muszą być autentyczne i wartościowe, jak kiedyś w pałacu moich przodków.

Westchnęłam i odpuściłam, uznając sprawę za przegraną. Nigdy nie czułam się dobrze w otoczeniu staroci. Będąc wśród nich, zawsze miałam wrażenie, że jestem w nudnym muzeum i brak mi tylko filcowych kapci. Nie rozumiałam też, dlaczego nie powinnam pracować. Taniec był moją pasją od małego, nie wyobrażałam sobie życia bez niego. Ale miał rację w jednym: gotowanie nie było moją specjalnością, nigdy mnie do garnków nie ciągnęło. Może zbyt uważnie obserwowałam moją mamę, która długie godziny spędzała w kuchni, wałkując ciasto na makaron, siekając jarzynki do zupy, mieląc mięso na kotleciki i prażąc przeróżne zasmażki i przypraszki...

- Jak małe się urodzi - rzuciłam, by zmienić temat - sama będę się nim opiekować. Chcę je karmić piersią, mieć je wciąż przy sobie, dniami i nocami.

- Ach, wzruszasz mnie, słoneczko, ale... to niemożliwe. Stać mnie na to, by opłacić fachową opiekę. Niańka będzie mieszkała w pokoju dzieciennym.

A ty, żabko, może powinnaś gdzieś sobie wyjechać? Wakacje dobrze ci zrobią. Może skoczysz na miesiąc, dwa do tej twojej przyjaciółki do Sopotu? Nie, ja nie mogę z tobą jechać, zresztą będę doglądał niańki. A gdybym był bardzo zajęty, to moi rodzice świetnie to zrobią; sami przecież wychowali troje dzieci. A ty, piesku, nie masz żadnego doświadczenia, zresztą do tego się nie nadajesz. O, będziesz mogła sobie pochodzić na tańce i na koncerty tej nowej muzyki, którą tak lubisz... Zaciągnęłaś mnie nawet: śpiewał ten, no jak mu tam, Wyrobek... Nazwali to rock and roli. Nie, to jakieś dzikie pomysły, to się nie przyjmie, taka muzyka nie może utrzymać się dłużej niż parę miesięcy... Chcesz jeszcze ostatnią kropelkę szampana, kochanie?

Chciałam. Ale ta ostatnia kropelka była jakaś gorzka. Może raczej słona, bo zmieszana ze łzami, które nie wiedzieć czemu zaszklily mi się w oczach. To pewnie tylko nadwrażliwość związana z moim stanem... Przez Izy słuchałam jeszcze słodkich komplementów: jaka to ja jestem śliczna, jak będę świetnie wyglądać, gdy zmienię styl ubierania się i z tych zbyt krótkich, zbyt dopasowanych sukienek przerzucę się na eleganckie kostiumy. Muszę też zmienić fryzjera - to uczesanie „na małąkę” nie jest dla mnie odpowiednie. Zresztą... imię też rodzice wybrali mi banalne, nie będzie pasowało do przyszłego małżeńskiego nazwiska. Też je zmienimy. Będę żoną wybitnego mężczyzny, muszę być partnerką na poziomie...

Wolałam nie być na poziomie. Chciałam zostać sobą. W złym, tandetnym stylu. Za mocno umalowana, z za dużym dekoltem, uwielbiająca jaskrawe kolory i zakazane imprezy. Chcę słuchać rocka, czytać Hła-skę i tańczyć jazz. Nie chcę być elegancką panią domu. Chcę mieć swój zawód, być niezależna i zarabiać własne pieniądze. Robić to, co lubię. I chcę sama wychowywać moje dziecko. Choćby za cenę życia w ciężkich warunkach, za cenę samotności. Za wszelką cenę.

- No, pieseczku, czas do łóżeczka - słodko przemawiał do mnie oddany, inteligentny mężczyzna. - Idź spać, jutro będziemy dalej zastanawiać się nad życiem...



Na dachu Teatru Wielkiego



W mieszkaniu na Starówce



To zdjęcie powielono w dwóch tysiącach egzemplarzy do rozdawania autografów. Może gdzieś jeszcze ktoś je ma zowieruszone w starociach?

Nie. Nie jutro. Już dzisiaj! Wszystko nagle stało się dla mnie jasne. Podjęłam decyzję. Może krzywdzącą moje małżeństwo i mojego partnera, ale jedyną możliwą.

Całą noc spędziliśmy razem, tylko we dwoje. Inaczej niż poprzednie noce - nie w objęciach, nie w miłosnych uściskach. Ale to ta noc była najtrudniejsza. I najważniejsza.

Poduszka była mokra. To ten szampan tak mnie rozkrochmalil?

TANGO

Moja przyjaciółka, jak wszystkie przyjaciółki swoim przyjaciołkom, opowiadała mi zawsze o detalach swego życia uczuciowego. Ja rzecz jasna zachowywałam się identycznie. Właśnie zadzwoniłam do niej i przy okazji ją zawiadomiłam, że ostatnio zupełnie nie jestem w nikim zakochana, wszyscy mężczyźni wydają mi się jednakowo nudni, a życie bure i beznadziejne.

- Ach, nie wiesz nigdy, co cię może spotkać! - usłyszałam. - Ja też tak myślałam - i raptem zdarzył się cud. Poszłam z moim chłopcem na wieczorek tańczący do znajomych i - stało się! A wszystko przez to tango...

- Jak to „przez to tango”? - wybałuszyłam na nią oczy przez słuchawkę.

- A tak. Wydawało mi się, że wszystko jest w porządku, że mam niezłego bieżącego narzeczonego; nawet się dobrze bawiliśmy na imieninach u koleżanki. Już przy końcu wieczoru, kiedy właściwie zbierałam się do wyjścia, ktoś puścił tango. Poprosił mnie do tańca jakiś blondas, na którego przedtem nawet nie zwróciłam uwagi, i... się zaczęło.

- Co się zaczęło? Od tego tanga? - pytałam rozogniona.

- Tak, właśnie! Ale nie wyobrażasz sobie, co się wtedy ze mną stało! Jak on to tango tańczył! O Jezu!

Wyczułam, że przymknęła oczy...

- Znaczą zaczął cię mocno przytulać czy co? - próbowałam wydobyć jakieś detale.

- Nie spłycaj, proszę cię! Ty zawsze sprowadzasz prawdziwe uczucia do jakichś prymitywnych sensacji erotycznych! Nie, nie chodzi o żadne wulgarne ściskania - on po prostu tak to tango czuje, tak ze mną je zatańczył, doznałam przez to tango tylu niezwykle mocnych sensacji - że to jest nie do opowiedzenia. Zresztą ty i tak czegoś takiego nigdy nie mogłabyś zrozumieć. Zapomniałam wtedy o całym świecie, nic już nie istniało. Staszek, który na mnie czekał, potem się wściekł i sam sobie poszedł. Późna pora, gospodarze, którzy pewnie chcieli pójść spać...

My zostaliśmy ostatnimi gośćmi, reszta rozeszła się do domów. Coś się ze mną stało - no mówię ci, oboje czuliśmy się jak na fali. Rozkołysani tą tęskną melodią, wtuleni w siebie, w te nasze odczucia, straciliśmy poczucie rzeczywistości, czasu - nic już nie było ważne...

Opowiadała z jakąś niecodzienną dla niej emfazą, jak w amoku: że jej mama, która czekała w domu, że jego rodzice, pewnie też niespokojni, że opinia ludzi, którzy się na nich gapili - że to wszystko było im obojętne. Bo istniało tylko tango, to genialne tango i my dwoje. Wierzyła, że to tango przesądziło o całym ich życiu.

Słuchałam z niedowierzaniem. Rozumiem, też lubię sobie potańczyć, zwłaszcza tango przytulane, ale żeby aż tak? W skutki? Brzemienne? Będzie po odtańczeniu tanga od razu z nim robić dzieci czy jak?

- Znaczy dobrze tańczy? Ale chyba to nie tancerz zawodowy? Wyczułam w jej głosie pogardę: - Jaki tam tancerz! Intelktualista, naukowiec. Nie, już lepiej mówmy o czymś innym. Gęś z prosięciem...

Zastanawiałam się, czy mam się obrazić za gęś, czy raczej za prosię, kiedy przypominałam sobie powód mego telefonu.

- Aha! Za tydzień będę obchodzić urodziny. Będzie ze trzydzieści osób. Przyjdź w niedzielę wieczorem. Jak chcesz, przyprowadź tego dansiora, o ile będzie jeszcze aktualny... - próbowałam być dowcipna.

- Och, będzie, nie wykluczam, że nawet przez dobre kilkadziesiąt lat! Dobrze, dziękuję, przyjdziemy razem - odpowiedziała.

Urodziny zapowiadały się wspaniale. Sałatka jarzynowa z majonezem, wielki garnek bigosu, skrzynka wódki kupiona w Peweksie. Gospoia na-gniotła ruskich pierogów, mama upiekła trzy brytfanki przypalonych cia-steki duży sernik z zakalce. Mieszkanie wysprzątane, fotel obity na nowo w wielkie kwiaty przez staruszka tapicera. A w pogotowiu zielony adapter stereo (trofeum z tury po Związku Radzieckim) i wielka sterta płyt pożyczonych od kolekcjonerów.

Goście zaczęli schodzić się od ósmej. Panie w sukienkach z komisów, panowie pod muszkami z eleganckiego sklepu Adam. Na meblościance ustawiałam kolejne prezenty: francuskie mydełko, parę rajstop, kwiaty... znowu kwiaty, butelka Martini... serwetka z Cepelii, róże... srebrna łyżeczka do cukru z Desy, pierścionek z Orno, ostatnia płyta Beatlesów (cała biała)... wycinanka łowicka na ścianę, zagraniczny krem do rąk, duży budzik. Kwiaty.

Jedzenie było rozstawione na stołach pod ścianami. Cały środek wielkiego salonu (mieszkanie, jak większość szykownych mieszkań warszawskich, przerobione było ze strychu) przeznaczyłam na tańce. Goście twistowali, trochę tańczyli nawet i walców, ale głównie leciał rock and roli i boogie. W miarę upływu wieczoru twarze panów robiły się coraz bardziej spocone i czerwone. Panie chichotały po kątach, a moja przyjaciółka tańczyła ze swoim tangowcem; wyglądali nawet na dobranych. On - niezły, dość przystojny - okazał się studentem (chyba fizyki albo matematyki... czegoś mądrego). Podglądałam ich w tym tangu. Owszem, rytmicznie, ale bez specjalnych figur. Tango jak tango.

Więc żeby aż tak przesadzać...?

Jedna z zaproszonych pań, zresztą świetna i znana aktorka, zaraz po wejściu do mieszkania weszła na górę, na drugi poziom, żeby zwiedzić moją sypialnię. Przypomniałam sobie o niej dobrą chwilę potem i poszłam sprawdzić, czy aby nie zasłała. Siedziała sama na moim łóżku, obejmując ciasno poduszkę i kiwając się rytmicznie.

- Co ci, Basiu? Ząb cię może boli? - zaniepokoiłam się.

- Eee, ząb... Jestem chora z zazdrości. Ile ty masz tych cholernych metrów! I jaka architektura! I te meble kolorowe, i ten szklany stolik, i ta lustrzana ściana na dole! A ja siedzę w tym moim idiotycznym M-2 i do dzisiaj nawet byłam zadowolona.

Używałam salonu jako sali baletowej do lekcji i prób - stąd cztery wielkie lustra na głównej ścianie. Duże inspektowe okno wmontowane



Z Grucą, nasz pierwszy wspólny duet
„Wars i Sawa”...



...i też z nim,
już na scenie
Opary Warszawskiej



Czuła przyjaźń.
Ale czy już nie patrzymy
na siebie z pewnym
niepokojem?



Przyjaciółka – tu patrzyła
na mnie zza drzewa,
ale potem już tylko
z ukosa

w dach i kąt kuchenny oddzielony od salonu tylko barem były wtedy czymś bardzo oryginalnym. Blatem tego baru była płyta z lastriko. Dokładnie taka, jakie wówczas kładziono w Warszawie na zewnętrzne parapety okienne. Ciekawe, czy to, że robiący remont robotnicy „załatwili” mi tę płytę, przynosząc ją pędem na moje czwarte piętro, miało coś wspólnego z brakiem parapetu w domu naprzeciwko.

Znany autor i reżyser pytał mnie o synka. Chciał sprawdzić, czy mały rzeczywiście jest podobny do ojca - jego bliskiego kolegi, z którym właśnie zabierali się do pisania scenariusza dla telewizji. „Człowiek czterdziestoletni”, a może „Trzydziestolatek” - tak jakoś miał brzmieć tytuł serialu.

- Kasperek? Śpi w pokoju dzieciennym. Chcesz, to idź go oglądać, ale na palcach i bez zapalania światła!

Po powrocie Jerzy streścił wrażenia: - Rzeczywiście, podobny jak dwie krople wody! Słodko spał koteczek, więc pocałowałem go w czółko. Tylko dlaczego miał papiloty na głowie?

To gospoia, sypiająca w pokoju dziecka, miała cały leb nakręcony na metalowe walki.

Jeden z gości, Józio, spil się jak bąk i groził natychmiastowym zawałem. Cucono go kawą, wreszcie postawiono - tak jak był, w garniturze - pod prysznicem. Wytrzeźwiał na tyle, że mógł opuścić moje mieszkanie. Wprawdzie niepewnym krokiem i ociekając, ale już o własnych siłach.

Zaczęło się przeredzać. Jakaś para całowała się jeszcze w kącie, ale większość gości już wyszła albo zbierała się do wyjścia. Podeszła do mnie moja przyjaciółka:

- Już też będziemy powoli uciekać. Było bardzo miło, dziękujemy. Ale, ale - ani razu nie zaprosiłeś pani domu do tańca! - zwróciła się do swego studenta.

Był dobrze wychowany, więc zgodził się natychmiast naprawić zaniedbanie. Właśnie leciała wiązanka tang. Zatańczyliśmy...



Jerzy Gruza zawsze
bacznie obserwujący
życie...



...i 50 lat później

Jestem tancerką i dane mi było tańczyć chyba z całą polską czołówką: Gruca, Szymański, Wilk... Zdarzało mi się już bywać zakochaną i wtulać się w rytmie tanga (głównie na sali dansingowej Bristolu) w marynarki kilku panów...

Ale nigdy TAK! Nikt nigdy nie tańczył ze mną właśnie TAK! Nie umiem wam opowiedzieć, na czym polegała magia tego wspaniałego mężczyzny. Otoczył mnie tylko leciutko ramionami i bardziej sugerował, podpowiadał kroki tanga, niż prowadził. Emanowała z niego jakaś delikatna, ale zniewalająca siła. Wpadliśmy natychmiast we wspólny rytm, w tę samą częstotliwość odczuwania, w jeden sensualny ciąg. Poczułam, że tworzymy jakby jedno ciało...

Płyta się skończyła, ale - nie rozłączając się - wiedzeni wspólnym pragnieniem przedłużenia tego wspaniałego amoku zbliżyliśmy się do adapteru, by znów postawić igłę na brzegu czarnego krążka. A potem - znowu od początku. I znowu, i znowu...

Ktoś wychodził, ktoś usiłował się zegnać. Jakaś koleżanka szarpała mnie za ramię: - Krystyna, przecież ona płacze w łazience. Nie możecie tak się zachowywać!

Machnęłam tylko ręką, więc natarła na mojego partnera: - Jak ci nie wstyd? Dlaczego ją tak poniżasz?!

- Mhhh, mhhh... Zaraz, zaraz...

I dalej, z przymkniętymi oczami, już teraz bardzo ciasno przytuleni, tańczyliśmy. Jak we śnie, jak po alkoholu czy narkotykach. Taniec wytrącił nas z równowagi. I z poczucia przyzwoitości.

Zdawało mi się, że wszyscy już poszli, w którymś momencie zapłakana przyjaciółka też wybiegła. Przytulony do mnie chłopiec usiłował zachować twarz: - Tak, tak, już idę, zaraz przyjdę, poczekaj troszkę...

Ale to „poczekaj troszkę” skierowane było chyba do mnie. Poddawałam mu się całym ciałem, odpowiadałam na każdy jego ruch, uprzedzałam zmiany kierunków, posłuszna jak niewolnica z haremu. I po raz nie wiem który nastawiliśmy płytę od początku.

Byliśmy zupełnie sami w opuszczonym przez gości mieszkaniu. Za oknami bieluško, mokre płatki padającego śniegu zbiły się w pierzynkową zasłonkę, która szczelnie otulała szyby. Wciąż tańczyliśmy. Melodie kilku czy kilkunastu tang wbiły się nam już w pamięć. Wreszcie adapter się zatrzymał, ale my, na drugim krańcu salonu, nie ruszyliśmy już w jego stronę. Mimo głuchej ciszy w uszach wciąż pulsowało mi tango. Staliśmy ciasno objęci, przytuleni. Dalej chyba tańczyliśmy, w każdym razie wspólnie się poruszaliśmy. Jak w transie.

W którymś momencie chwyciłam moje futerko, a on zarzucił płaszcz na ramiona. W głowie kręciło mi się jak po wódce, chociaż prawie nic nie wypiałam. Nie mogliśmy jeszcze mówić, wciąż kurczowo objęci, jakby bojąc się, że czar pryśnie i na powrót wpadniemy w szare życie. Drzwi do mojego mieszkania chyba zostawiłam szeroko otwarte...

Na zewnątrz było pusto, biało i puchato. Świeży śnieg leżał grubą warstwą na uliczkach Starego Miasta, nigdzie żywej duszy.

Odprawadzałam go do domu: Krakowskie, Nowy Świat, plac Trzech Krzyży, Aleje, Mokotowska. A potem - z powrotem: on odprawadzał mnie do mnie, na Piwną. Nasze zmarznięte dłonie ciągle kurczowo ścisnęły się w kieszeni jego płaszcza. Szliśmy blisko, bliźniutko, milcząc.

Rzucające koła światła na błyszczący śnieg latarnie zgasły. Na świat wyszli pierwsi zaspani przechodnie, ktoś czekał już na poranny autobus, pojawili się roznosiciele mleka. Z trudem rozplątaliśmy skostniałe palce. Poczulałam się raptem okropnie samotna, jakaś pusta.

Rozstanie. Bolesne, ale wciąż bez słów. No bo co tu można było powiedzieć? Jak nazwać to, co się nam przydarzyło? Jak ocenić nasze zachowanie? Jak wrócić do życia i znaleźć jakieś sensowne wyjście z tej sytuacji?

Nie oglądając się za siebie, wbiegłam na moje czwarte piętro. Mieszkanie wyglądało jak po burzy: poprzewracane kieliszki, rozlany alkohol, smutne resztki na talerzach. Zapach zimnego popiołu, jakaś zapomniana rękawiczka.

Niechętnie wracałam do rzeczywistości. Jak to, już dziewiąta? Za godzinę mam być na próbie! I stanąć oko w oko z przyjaciółką, której odtączyłam mężczyznę...

Prysznic, podwójna kawa - poczłapałam do teatru.

Już była: zaczerwienione oczy, zapuchnięta, śliczna buzia.

- Co ja mogę teraz zrobić? - zdobyłam się na odwagę. - Przecież nie mogę cię nawet przeproszać. Jasne, zachowałam się poniżej krytyki. Ale co mogę ci powiedzieć? Nigdy bym nie przypuszczała, że jestem zdolna do takiego świństwa. Mam uklęknąć? Możesz mnie znienawidzić, ale miałaś rację - to tango z nim jest niepojęte...

Tym wyznaniem o tangu pograżyłam się w jej i własnych oczach ostatecznie.

Jednak kilka godzin później, już po próbie, wyszliśmy razem. Usiłowałam się tłumaczyć z tej mojej bezsilności, zauroczenia, zaczadzenia tangiem. Szliśmy, pochlipując i nie wiedząc, jak wybrnąć z sytuacji.

No jasne: to on! Jak on śmiał tak się zachować?! Tak uwodzić kolejne kobiety?! Otańcowywał nas jedną po drugiej - pewnie na trzeźwo, z wyrachowaniem. Rozgrywał jakieś swoje interesy, zaspokajał jakieś chucie i ambicje. Zimny manipulator!

Manipulator nieoczekiwanie wychynął we własnej osobie parę kroków od nas, na rogu Świętojerskiej. Na nasz widok oblał się rumieńcem i zniknął pospiesznie w najbliższej bramie.

Nie widziałam go potem przez długie lata. Pojawiłam się tylko na ich ślubie, schowana daleko za kolumną katedry. Ona nie jest już moją przyjaciółką. Nie mogła mi wybaczyć tamtej nocy, którą przetańczyłam z jej ukochanym?

Ich wspólne tango miało trwałe skutki: syn, potem córeczka, teraz mają już chyba wnuki. Nasze też: od tamtej pory tanga nie tańczę. Jest zbyt niebezpieczne...



„Święto wiosny” w Operze Warszawskiej. Genialna muzyka Strawińskiego, świetne kostiumy Majewskiego. Dobry dyrektor, tak jak Bohdan Wodiczko, może czynić cuda



Lampa z wikliny, uczesanie z „Warszawianki”

OPONY

Niedziela.

Ostatnia niedziela przed opuszczeniem Warszawy. Polskie czołgi wysłane przez zaprzyjaźnionego sąsiada właśnie wjechały do czeskiej Pragi. Na ulicach Warszawy rewolta: studenci organizują na Politechnice strajk okupacyjny, rząd postanawia wziąć ich głodem. Wraz z młodym Kisielewskim, który w międzyczasie stał się moim ukochanym, jeździliśmy dookoła Politechniki moim autkiem i wrzucaliśmy przez okna uczelni paczki podarowane studentom przez Bliklego. Milicja przepędzała nas, ale jakoś niemrawo. Mój ojciec, profesor matematyki, wpadł na świetny pomysł, by odsiać szpionów od wiecującej w auli uniwersytetu młodzieży. Postawieni przy drzwiach dwaj studenci prosili dyskretnie wchodzących o rozwiązanie prostego zadania matematycznego, które poznaje się na pierwszym roku studiów. Dzięki temu część usiłujących się wepchać ubeków (choć mieli podrobione legitymacje studenckie) odchodziła z kwitkiem.

Wiedziałam już, że opuszczę mój kraj na stałe. Wyjeżdżałam niezbyt chętnie, z mieszanymi uczuciami i z poczuciem porażki. Moja pasja, działalność choreograficzna, własna grupa baletowa - wszystko to okazało się iluzją, jakimś fantomem - jak nazwa mojego zespołu tańca jazzowego.

Tyle że w przeciwieństwie do większości moich kolegów wcale nie marzyłam o opuszczeniu kraju rodzinnego. Chociaż w kraju nie było wolności, byłam w sytuacji uprzywilejowanej i robiłam to, co naprawdę lubiałam. A w dodatku świetnie z tej mojej działalności sobie żyłam: wielkie, przerobione ze strychu mieszkanie na Starówce, własny samochód na podwórku, gosposia z oddaniem opiekująca się moim jedynakiem i ja - cały czas w gorączce twórczej, ciągle w podróży, od jednego występu w telewizji do drugiego, między jednym spektaklem a drugim. Tu choreografia dla zespołu Filipinki, ówdzie ruch w warszawskim Teatrze Współczesnym, układy dla Starego Teatru w Krakowie, opracowanie wielkiego przedstawienia tańców radzieckich

w Kongresowej... Łódź, Gdańsk, Katowice. Axer, Hanuszkiewicz... Za pan brat z najznakomitszymi, na ty z tuzami. Gdzie indziej będę mogła przebywać w towarzystwie najlepszych pisarzy, jadać na co dzień w SPATiF-ie obok świetnych aktorów, znać osobiście te „górne dwa tysiące”

- polską elitę artystyczną i intelektualną?

Opuściłam już dawno stado łabędzi w Teatrze Wielkim - trudno mi było być tylko delikatną odtwórczynią łagodnych, płynnych ptasich ruchów. W mojej rogatej duszy aż się gotowało, żeby coś ostro wyrockandrollować, żeby zrobić jakąś rewolucję baletową, złamać klasyczne kanony i przenieść obowiązującą estetykę ruchu. Od podszewki, na opak.

Okazja nadarzyła się sama - rząd francuski niespodziewanie przyznał mi stypendium na trzytygodniowy wyjazd do Paryża, gdzie miałam zapoznać się z tańcem nowoczesnym. Ten wyjazd był dla mnie objawieniem. Okazało się, że jazz nie tylko można tańczyć, ale że istnieje też cały szereg szkół tańca jazzowego - z odrębną techniką i własnym stylem, który oczywiście mnie zachwycił.

No dobrze, pomyślałam, ale w takim razie dlaczego Leopold Tyrmand zapewniał mnie surowo, że muzyka jazzowa, której u niego słuchałam, jest muzyką niemal sakralną? I że tańczenie jej równałoby się świętokradztwu?!

Natychmiast po powrocie z Paryża do Warszawy skrzyknęłam grupę młodych zdolnych tancerzy i spreprowałam pierwszy spektakl baletowy do muzyki jazzowej. Byłam szczęśliwa, moi tancerze postanowili - jak ja - opuścić progi Teatru Wielkiego. Szymon Zakrzewski, ówczesny dyrektor PAGART-u - jedynej, bo państwowej, agencji impresaryjnej - zapewniał nas, że wraz z zespołem wokalnym Novi i z grupą muzyczną Andrzeja Trzaskowskiego podbijemy świat.

Nie podbiliśmy. Stwierdzono, że zespół jest za młody, by podróżować poza granicami Polski. Początkowo dano nam trzyletni okres zakazu opuszczania kraju - czas na „sprawdzenie się” przed robotnikiem

i chłopem. Tośmy się sprawdzali. Moja grupa tańca jazzowego - pierwsza tego rodzaju w Polsce - tak się podobała, że aż tak zwane czynniki się zaniepokoiły. Coraz nachalniej namawiano mnie na wyjazd do Stanów, do Francji albo do Anglii.

A gdzie tam! Przecież miałam piękne mieszkanie, własny samochód i - najważniejsze - robiłam to, co naprawdę mi się podobało: kreowałam balety, tworzyłam choreografię dla młodej grupy zdolnych zapaleńców...

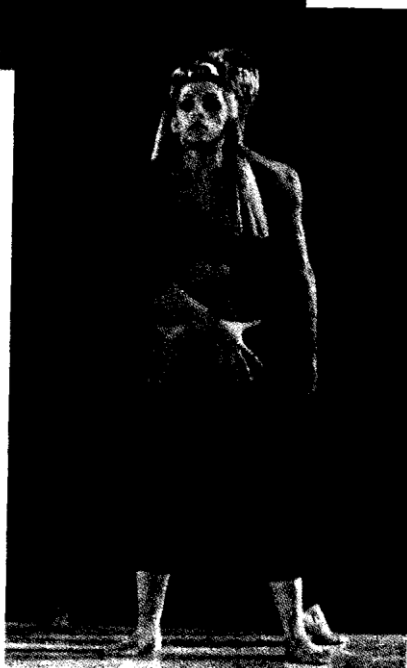
Wzywali mnie do Komitetu Centralnego, przekonywali, że moje układy są przeintelektualizowane. - Jak to? - pytałam zaskoczona. - Przecież my tylko podnosimy nogi i się kręcimy, jaki tam intelekt... Dlaczego nie używamy muzyki radzieckiej? Ano bo jakoś tak się składa, że Amerykanie są w jazzie lepsi. No i przecież to ci czarni, uciskani niewolnicy - argumentowałam.

Dyrektor telewizji Włodzimierz Sokorski, choć szeptem zapewniał, że prywatnie bardzo ceni poszukiwania artystyczne mojej grupy baletowej, oficjalnie nakłaniał mnie do korzystania z „polskiej muzyki ludowej”. Ludowej? Przecież Mazowsze i Śląsk robią to znakomicie. Nigdy bym im nie dorównała. Ale przecież mamy wieczór baletowy do muzyki Komedy, Trzaskowskiego i Kurylewicza. Też Polacy! Wystąpiliśmy z nim w Filharmonii, a nawet w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. A na festiwalu jazzowym w Pradze odnieśliśmy sukces i podpisaliśmy po nim zagraniczne kontrakty: na tournée po Belgii, występ w telewizji w Rzymie i na festiwalu w Newport, a nawet na miesięczne występy w paryskiej Olympii!

Dostaliśmy już paszporty, mieliśmy bilety samolotowe - tyle że na kilka dni przed datą wyjazdu zawiadomiono mnie telefonicznie, że... musimy te bilety zwrócić. Bo „nastąpiła zmiana decyzji”. Próbowałam protestować, ale usłyszałam, że jeśli będziemy się upierać, to i tak zatrzymają nas na lotnisku... Jak to, a Cocatrix, dyrektor Olympii? „Och, niech się pani



Mój zespół. Oparty nonszalancko o fortepian w jasnym sweterku – mój Tazio



Fantom, balet „Nihil novi”
do muzyki Andrzeja Trzaskowskiego

nie martwi. Już dostał telegram, że ma pani złamaną nogę i trzeba odwołać występy."

Wyemigrować? Chyba że wypchną mnie siłą... Występy na żniwach, na ciężarówce, tańce między maszynami w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu... Robotnicy i chłopcy wyglądali na zadowolonych - przerwa w pracy, panienki z Warszawy przyjechały i będą fikać. Propozycji było co niemiara.

Wkrótce jeden z moich tancerzy kupił sobie samochód, inny zaczął wpłacać na książeczkę mieszkaniową. Oczywiście, nie wszystkim się to podobało. Któregoś dnia dowiedziałam się, że na zebraniu komórki partyjnej w warszawskiej Operze w porządku obrad pojawiła się „sprawa Mazurówny”. Komentowano, że noszę za krótkie spódniczki, że używam zbyt jaskrawej szminki (nosiłam, używałam). A potem były zarzuty, że moi tancerze zarabiają lepiej niż starzy operowi soliści i że to jest nie do zaakceptowania. I co to w ogóle jest? Jakiś półprywatny zespół ćwiczący na strychu na Starówce? Czas z tym skończyć!

No i w końcu się do nas dobrali. Ponieważ uparcie odrzucałam propozycje wyjazdu na stypendia zagraniczne, ktoś wpadł na pomysł bardziej skutecznego szantażu. Któregoś dnia moi tancerze dostali powołanie do wojska. (Wyobrażacie sobie minę Gerarda Wilka z ogoloną na zero czaszką i w mundurze?). Wywalczyłam tylko tyle, że respektowali podpisane wcześniej kontrakty. Próby odbywały się u mnie w domu: gosposia zabierała towarzyszących Wilkowi dwóch wojaków na bigos do kuchni. (Przed przysięgą nie wolno mu było poruszać się samemu, więc w koszarach żołnierze ciągnęli losy, żeby złożyć mi wizytę!). A my w salonie tańczyliśmy...

Przy kolejnym spotkaniu interwencyjnym jakiś generał obiecał, że jeśli opuszczę kraj, następnego dnia tancerze zostaną z wojska zwolnieni. „Niech sobie grzecznie wrócą do Opery, a my o sprawie zapomnimy. Pani muru głową nie przebije”. Zrobiłam ostatecznie przyjęcie, upiliśmy się

wszyscy do łez. Rozdałam wszystko: Wilk wyszedł, niosąc skórzany fotel na głowie, jedna z tancerek dostała telewizor, inna - komplet kryształowych kieliszków...

Jeszcze tylko zakończę cykl spektakli, pokazów mody Grażyny Hase, które urozmaicane były wstawkami baletowymi w wykonaniu duetu Mazurówna - Wilk. Jeszcze tylko sprzedam niepotrzebny mi już samochód - i wsiadam w samolot...

Zgodziłam się na wyjazd do Paryża. Najbliżej, najtańszy bilet. I tak nigdzie nikogo nie znam, a wszędzie jakoś dam sobie radę - mam zawód w nogach, nawet znajomość języka nie jest niezbędna...

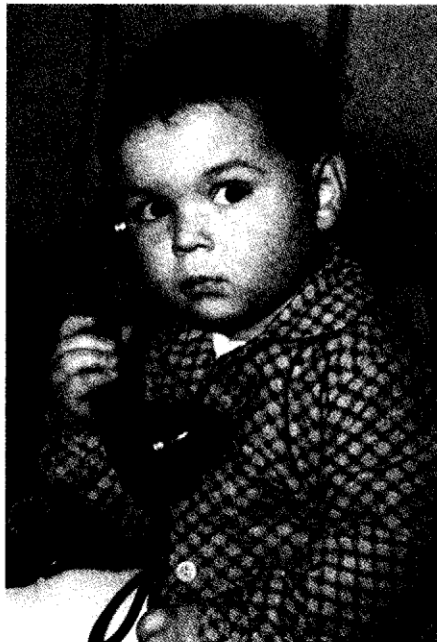
Wzięłam ze sobą dozwolone pięć dolarów, a resztę - forszę za sprzedany samochód i jakieś uciulane dolce - przewiózł mi konsul w walizie dyplomatycznej. Oplata za takie usługi była znormalizowana - dwadzieścia procent.

Coś we mnie pękło.

Po kilku miesiącach znalazłam wreszcie pracę. Zaczęłam tańczyć w teatrze, potem zaangażował mnie Onassis do swego prywatnego klubu w Atenach. Tańczyłam w operetce z Tino Rossim, brałam udział w filmie Leloucha, byłam solistką w ostatniej rewii Josephine Baker. Założyłam nawet własny zespół Ballet Mazurówna - ale to już nie było to. Nie sprężyłam się do poszukiwania nowych form, tańczyliśmy komercyjną, intratną rozrywkę. Brak mi było wiary, siły do walki. Na szczęście zaproponowano mi stanowisko solistki w Casino de Paris, gdzie spędziłam kilka wspaniałych lat na scenie, opiekując się równocześnie dwoma synami: Kasprem i Baltazarem. A potem - zamiast Melchiora - Ernestynką.

Ale zanim doszło do tego wszystkiego, miałam jeszcze przed sobą ostatnią niedzielę. Ostatnią niedzielę w kraju.

Po przedstawieniu w Krakowie wraz z moim asystentem układów choreograficznych Tadeuszem ruszyliśmy do Rabki. Tu właśnie, w czymś



Dwuletni Kasperek
już przy słuchawce...

...może dlatego, że kontakt
z matką, wciąż nieobecną, tylko
taki był możliwy?



w rodzaju prywatnego internatu, na czas naszej koniecznej rozłąki umieściłam Kaspra. Gdy tylko zajadę do Paryża, znajdę pierwszy kontrakt i ściagnę dziecko do siebie. Nie podejrzewałam jeszcze wtedy, że nim zatańczę po raz pierwszy na deskach scenicznych Paryża, minie rok!

Kasper był już gotowy, z małą walizeczką po lekcjach w sobotę stał w progu pensjonatu w Rabce, czekając na mamusię i wymarzony ostatni weekend. Obiecałam mu podróż autem do Krakowa. Opowiedziałam, jaka wspaniała będzie luksusowa kolacja w pokoju nowego hotelu Cra-covia, kąpiel w pianie, długie nocne rozmowy o naszej pięknej wspólnej przyszłości. W niedzielę rano chciałam pójść na krakowską giełdę samochodową, żeby sprzedać auto, a po odwiezieniu malca do Rabki

- wrócić do Warszawy, na ostatni wieczorny spektakl. W poniedziałek rano samolot miał mnie porwać do Paryża.

Jechaliśmy więc z Tadeuszem i Kasprem. Trasa Rabka - Kraków nie jest długa, ale moje myśli zdążyły już daleko zabłądzić. Chcąc uciec od smutku, przyduśiłam pedał gazu. Szosa była puściutka, w porównaniu z innymi drogami polskimi nawet w niezłym stanie, a samochód - niedawno kupiony i po przeglądzie - rwał jak rumak. Nagle jakiś piekielny wstrząs podrzucił nas w górę, potem auto spadło na cztery łapy. Zauważyłam w lusterku szeroką wyrwę w szosie, jakby półmetrowy rów. Choć było już za późno na cokolwiek, na wszelki wypadek zwolniłam. Ale motor nadal zdrowo warczał, więc jechałam dalej. Tadeusz trochę się zdenerwował, sklął drogowców, a mnie skarcił za gapiostwo. Puściłam te jego pouczenia mimo uszu

- w końcu mój asystent nie będzie mnie uczył ani choreografii, ani prowadzenia auta.

Chwila prawdy nadeszła kwadrans później. Zaczęło nas lekko znosić, kierownica w moich rękach nagle zaczęła stawiać opór.

- Nawaliło nam koło! Prawe tylne - zawyrokował Tadzio. - Masz zapasowe?

Miałam, ale nie potrafiłam zmienić. Mój egzaminator z prawa jazdy darował mi te wszystkie brudzące czynności. Kazał tylko zrobić małe kółko dookoła domu - i zdałam. Widział mnie w telewizji i powiedział, że ładnie się ruszam i jestem sexy.

- Sexy, sexy - z politowaniem spojrział na mnie Tadzio. - No i co byś zwojowała tym swoim sexy, gdyby mnie tu nie było?

- Zatrzymałabym jakiegoś mężczyznę i też by mi zmienił to koło - odpowiedziałam, ale już mniej pewnie, bo na horyzoncie nie było ani pół istoty żyjącej. Nawet krowy z okolicznych pastwisk już chyba poszły spać, tak zresztą jak i mój Kasperek, który zwinął się na tylnym siedzeniu.

Na mój kostium sceniczny, który dla zyskania czasu zatrzymałam na sobie, narzuciłam wyjęty z walizki sweterek. Było tak zimno, że nawet nie chciało mi się odkleić sztucznych rzęs ani zdjąć grubej warstwy ostrego makijażu. Zrobię to już w hotelu, przy okazji gorącej kąpieli - marzyłam.

Tadeusz walczył dziarsko. Po długich poszukiwaniach znalazł lewarek, odkręcił pęknięte koło i nie bez trudności umocował zapasowe. Wydawało mi się, że trwało to całe wieki, ale w końcu ruszyliśmy - ostrożnie i powolutku. Drżałam z zimna, noce górskie okazały się bardzo chłodne. Moje skulone dziecko spało, wypuszczając z buzi kłęбки pary.

- Już chyba niedaleko? - spytałam w złą godzinę: znów szarpnięcie, znów kierownica wyrwała mi się z rąk. Już miałam powiedzieć Tadziovi, co myślę o tej jego fuszerce, gdy zrozumiałam - tym razem nawaliło inne koło, lewe tylne.

To już koniec! Pozostało nam tylko szukanie pomocy we wsi, przez którą właśnie przejeżdżaliśmy. Po długim kołataniu obudziliśmy kowala, który - po wstępnych targach - podjął się naprawy. Zdjęte przez Tadeusza koło zaczął dokładnie oglądać, wyszarpywać mu jakieś wnętrzności, po czym zawyrokował:

- Pani, ja nie mogę zwulkanizować dętki, bo pani dętki nie ma. Ktoś ją może podwędził albo co. Ja jeszcze takiego czegoś nie widziałem, żeby

kolo jechało, a nie było nadziane dętka. Może i przykleję łatę na gorąco, ale nie ręczę za nic.

Z wielką łatą na kole powolutku ruszyliśmy w dalszą drogę. Byłam skostniała, głód skręcał mi kiszki. Obliczałam nerwowo czas potrzebny do pokonania dzielących nas od Krakowa kilometrów: chyba wszystkie restauracje będą już zamknięte, z kolacji w hotelu też nici. Może i uda mi się zanieść śpiące dziecko do łóżeczka. Ale czy wybaczy mi ten zawód?

Podskoczyliśmy - przednie prawe! Dookoła pustka, nie widać nikogo. Najbliższe budynki to jakieś zapadnięte chatki. Z trudem wyszarpywałam z błota moje francuskie szpileczki, siatkowe rajstopy rozdarły się o jakiś oset, minispódniczka zadarła się zupełnie, a głęboki dekolt, nieszczelnie okryty kusym sweterkiem, pokrył się gęsią skórą. Tak, Tadzio miał rację: cały ten mój wątpliwy seksapil na niewiele się zdaje w podbramkowych sytuacjach.

Dopiero w czwartej chacie - po długotrwałym waleniu w okienko, pokazaniu śpiącego na rękach dziecka i wzbudzeniu litości naszą tragiczną przygodą - jakaś babina zdecydowała się otworzyć. Buchnęło na nas cuchnące gorąco. Z jedyne go łóżka wygrzebywał się zaspany chłop.

- Dobra, panienko, mój pójdzie spać do świń, będzie mu ciepło, a wy tu włązta i się prześpijta. Nie, nikt by wam nie otworzył, bo tu ludziska strachliwe. W zeszłym tygodniu jednego zarabali, nawet mu siekiery ze łba nie wyjęli. A miesiąc przedtem to dwóch się potopiło w stawie za miedzą. Kto tam wie za co. Jak swój swojemu łba urywa, to co dopiero obcy? Ale panienka, chociaż dziwna, chyba nic złego nie chce, i jeszcze z tym biednym dzieciorem...

Dzieciór, już zaróżowiony, spał zdrowo na wielkiej kupie siana, która służyła za poślanie. Poprosiłam o wodę, mając nadzieję na kąpiel - dostałam trochę w garnuszku. Użyłam jej do jako takiego zmycia szminek. Tadzio mościł się koło Kasperka od ściany, ja przycupnęłam z brzegu. Wisząc nad klepiskiem, usiłowałam znaleźć jakieś logiczne wyjście z sytuacji.

Tadzio - jak zwykle filozoficznie nastrojony - rozsnuwał przede mną teorię o życiu, polskiej rzeczywistości, naszym baletowym zawodzie. Wiedział, że wyjeżdżam na zawsze - choć ja sama nie byłam jeszcze tego pewna. On, jak ja, nie mieścił się w ustalonych ramach, jak ja szukał nowych rozwiązań. Dla pracy w mojej grupie porzucił posadę tancerza w Teatrze Wielkim, ale w przeciwieństwie do pozostałych, mimo mojej porażki i rozwiązania zespołu, nie dał się skusić intratnym propozycjom. Nigdy już nie wrócił do baletowego zespołu operowego.

I teraz na tej stercie siana w chłopskiej chałupie tłumaczył mi, jak ważny jest honor, wierność własnym postanowieniom, jaka jest cena pozostania sobą.

Zgadzałam się z nim całkowicie. - Ale co można zrobić? Uszy po sobie, walczyć czy odpuścić? - pytałam.

Ja odpuszczam. Poddaję się, wyjeżdżam, nie chcę już niczego nikomu udowadniać, nikogo prowokować. Będę sobie grzecznie żyła pod szafą, tańczyła, jeśli trzeba, przy ścianie. Straciłam parę i chęć działania, będę teraz żyła tylko dla siebie. No, może raczej dla synka - to jest teraz jedyny mój cel, jedyna nadzieja...

Nadzieja rozpychała się, strącając mnie prawie na ziemię i wbijając Tadeusza w okienko w ścianie. Za szybką przebijały się już pierwsze przebłyski brzasku, a my, mimo zmęczenia, wciąż dyskutowaliśmy.

- Tadziu, a skąd ty masz właściwie to twoje wycucie rytmu. Skąd ta taneczność i muzykalność?

- Ha, ha-a-a... - zaswingował w odpowiedzi. - A skąd ja wiem? A zresztą... ta fala komplementów to za tę oponę?

- Wiesz, mam kilka pozaczynanych choreografii w kilku teatrach w Polsce, nie chcę tych ludzi zostawiać na lodzie - ciągnęłam niezrażona. - Czy mógłbyś je pociągnąć? Dam ci listę reżyserów teatralnych, z którymi współpracowałam, telefony teatrów. Jak wyjadę, zadzwoń, przedstaw się jako mój asystent i wyjaśnij sytuację.



Zawsze bacznie przyglądam się
butom, mam ich ze sto par



Myszę? Tworzę?
A może boli
mnie brzuch?

- Dobra, dobra, zobaczymy... Teraz trzeba wstawać, bo dzieciak się budzi i będzie chciał śniadania.

Dzieciak ziewnął potężnie i z trudem otworzył oczka:

- Mamo, kiedy będzie kolacja? Mogę dostać bryzol z pieczarkami i melbę?

Bryzol w owych czasach stanowił szczyt wykwintu gastronomicznego, melba zresztą też. W odpowiedzi na moją absurdalną prośbę o jajka w szklance (po wiedeńsku) i bułeczki z szynką usłyszałam, że te parę jajek, co czasem kurka zniesie, zawozi się dla syna, co studiuje w Krakowie. A nijakich bułeczek ani szynki nie ma. Chleb był, a jakże, pieczony w zeszłym tygodniu, ale już zjedzony. Ale nie szkodzi - sąsiadka już zrobiła ciasto na zacierki, głodni przecież od nich nie wyjdziemy.

- A chłop pilnuje tej paninej taksówki. Stoi obok z kamieniem w garści i odpędza ciekawskie dzieci...

Jedyny działający samochód w okolicy, milicyjny radiowóz, podwiózł nas do jakiegoś kmiotka, który właśnie wyjeżdżał wozem drabiniastym do Krakowa na targ. Tak zajechaliśmy przed hotel - na główkach kapusty, z kołem pod pachą. Dziecko, po pospiesznym spożyciu melby na pierwsze śniadanie, wsiadło z Tadeuszem do autobusu do Rabki, a ja do samolotu - ledwie zdążyłam na wieczorny spektakl w Warszawie. Forsa za auto - naprawione i sprzedane tydzień później na giełdzie - została mi przekazana już do Paryża.

Synek przyjechał do mnie dopiero rok później, gdy znalazłam pierwszą pracę. Zobaczyłam go na lotnisku w sznurowanym obuwiu, czarnym gar-niturku, z aktówką pod pachą i tabliczką z nazwiskiem na szyi. Rozpłakałam się, Kasperek mnie nawet nie poznał! Prosto z lotniska ruszyliśmy do sklepu z tanią odzieżą, gdzie przebrałam go w dzinsy, trampki i czerwony podkoszulek. Atrybuty dawnej elegancji trafiły do śmietnika.

Tadzio nigdy nie wrócił do Opery. Ale podobno tańczyła tam jego żona, a potem córka.

Któregoś dnia przyjechał do Paryża ojciec Kaspra. W odwiedzin.

- Wiesz - mówi - nie myśl sobie, że jesteś niezastąpiona. W Warszawie pojawił się nowy choreograf. Jest genialny! Ale nie możesz go znać, bo to człowiek z młodego pokolenia. Nazywa się Tadeusz Wiśniewski.

Co proszę?! A ta sama szkoła baletowa, ta sama nudna katorga w Operze, potem współczesne harce na moim strychu, na chałturach, w telewizji, na niezliczonych scenach? No i do tego ta wspólna noc w chłopskiej chałupie...

„Nie możesz go znać”. Dobrze sobie!



A tak długo namawiałam, żeby wskoczył ze mną do basenu



Casper puszcza bańki mydlane. Podobny do ojca?

MLEKO

Jakoś tak los mnie rzucił albo i moje przeznaczenie tak chciało, że kiedyś, pod koniec grudnia, znalazłam się w Paryżu - sama i bez grosza przy duszy. Dozwolone przez władze przy opuszczaniu Polski pięć dolarów już dawno zostało przeputane, rodzina była daleko, a polski zapyziały hotelik - ohydny. Reasumując: głód, chłód i ubóstwo. Jedyne znajome, nazwijmy go Adam, narzeczony mojej przyjaciółki, która czekała w kraju, był w podobnej sytuacji. Postanowiliśmy więc podzwonić do miejscowych krajan w nadziei na jakiegokolwiek zaproszenie.

Wieczór sylwestrowy był chłodny, ale pogodny. Po złożeniu przez telefon kolejnych najlepszych życzeń noworocznych zrozumieliśmy, że nikt nas nie chce i że nasze dalsze wpraszenie się nie ma sensu. Mimo wszystko postanowiliśmy jednak jakoś ten dzień uczcić. Wyszliśmy więc na Wielkie Bulwary, gdzie kłębił się rozradowany tłum beztroskich paryżan.

- Jak myślisz, jaki prezent zrobiłby przyjemność mojej Krysi? - marzył stęskniony Adaś. Dysponował jeszcze specjalnym funduszem na zakup prezentu dla narzeczonej, za którego pomocą miał nadzieję nakłonić ją do ślubu. - Myślałem o jakimś niedużym autku, ale jeśli odliczę na cło, ubezpieczenie i benzynę na powrót, to nie może być drogie. To może lepiej kupić trochę używane?

By się zagrzać, weszliśmy do jakiejś kafejki. On zamówił sobie kieliszek czerwonego wina, a ja, nie chcąc naciągać go na większe wydatki - ciepłe mleko. Kelner, początkowo bardzo zdziwiony, szybko przyniósł mi wielką szklanekę dymiącego mleka. Tłum gości bratał się radośnie, po kilku wzajemnych uprzejmościach barman postawił kolejkę (wino i mleko), więc Adam, dumny Polak, zrewanżował się następną...

Z bulgoczącym w brzuchu ciepłym mlekiem udałam się z Adasiem w dalszą wędrowkę. Dyskutowaliśmy o życiu, miłości i patriotyzmie. Adam przekonywał mnie, że życie ma sens tylko w miejscu, w którym

się człowiek urodził, i że zakup drogiego prezentu jest absolutnym dowodem miłości. Próbowałam podważać te jego prawdy, przywołując fakty ze swojego życia: skoro urodziłam się we Lwowie, to co, mam teraz żyć na Ukrainie? A co do prezentów - ważna jest wyłącznie ich wartość, a nie cena. Kiedyś mój narzeczony, zresztą brat tej Adasiowej Rudej, po swoich sukcesach - artystycznym (na koncercie w Baden-Baden) i finansowym (w kasynie) - zadzwonił do mnie czekającej z utęsknieniem w Warszawie:

- Mróweczko, wygrałem kupę szmalu! Nocą wracałem z kasyna do hotelu i minąłem salon Porsche... Jaki kolor by ci odpowiadał?

- Eee tam, Wacek, idź lepiej spać. I tak ci nie wierzę... Jednak jakaś iskra nadziei - matki głupich - kołatała się w mojej głowie... Wacek wrócił po kilku dniach samolotem. Przywiózł mi parę rajstop w celofanowej torebce, kupionych w ostatniej chwili w automacie na lotnisku za jedną markę. Naprawdę chciał mi kupić to auto, ale następnego dnia była niedziela, salon samochodowy nieczynny, a kasyno - i owszem.

Miałam się obrazić? Zresztą takie zachodnie rajstopy w owych czasach to też było nie byle co! Oszczędzałam je, włożyłam dopiero na sylwestra, a potem jeszcze wielokrotnie zanosilałam do podnoszenia oczek do budki na placu Zbawiciela.

Po kilku kolejnych wspomnieniach znów wpadliśmy z Adasiem do baru. Marmurowy wystrój, pozłacane lampy. Przy stoliku siedziała znajoma z Warszawy, tancerka Nata Lerska. Z mamą.

- Dzień dobry, Krysiu! Ty też na stałe w Paryżu? - pierwsze dwa zdania Nata poświęciła mnie, resztę już sobie. - Ja tak, bo wyszłam tu za męża za bogatego przemysłowca. Mieszkam w eleganckiej dzielnicy, mąż kupił mi szkołę baletową. Ma tu zaraz po nas przyjść, idziemy do takiego luksusowego lokalu na bal sylwestrowy. Zapisz sobie mój adres, musicie państwo wpaść do nas na kawę! - pytająco spojrzała na Adama.

- To Adam, nie, nie mój, to narzeczony Rudej Krysi, prawie mój szwagier - wyjaśniłam. - Ale, ale - przeliteruj mi powoli swoje nowe nazwisko, bo ja jeszcze nie bardzo sobie daję radę z tym francuskim...

- To pisz: ka, o, polskie wu, potem a... Kowalski.

Mąż Naty był polskim Żydem, który przyjechał do Paryża z jedną białą koszulą i tym swoim uporem. Parę lat później był już właścicielem kilku fabryk, mieszkań i samochodów. Dorobił się też żony artystki i dał pracę wielu robotnikom. Zrealizował swój cel życiowy.

Teraz przyszła kolej na mamę Naty, jaskrawo umalowaną panią po osiemdziesiątce:

- Bardzo mi się tu podoba, nawet postanowiłam zostać u córki na stałe i rzucić nasz polski paszport. Wyszłam sobie na spacer, idę ulicą i bach! - rzuciłam go do rynsztoka. Uff, udało się! - pomyślałam sobie. A tu biegnie za mną jakiś elegancki pan: „Proszę pani, proszę pani, pani coś zgubiła!”. Co było robić? Ciągle go trzymam.

Pożegnaliśmy się grzecznie i ruszyliśmy dalej. Minąwszy plac Madeleine i Operę, doszliśmy do wniosku, że lepiej - głównie zresztą z przyczyn budżetowych - kupić Krysi samochód po wypadku. W końcu polscy mechanicy to cudotwórcy - wyklepią i będzie jak nowy. Po następnym barze (kolejny kubek mleka), gdzieś obok Opery Comique, atmosfera na ulicy zrobiła się bardziej gorąca. Północ zbliżała się wielkimi krokami, ale ja, mimo zachęcających ofert Adama, z dziwnym uporem ciągle jechałam na tym mleku. Za to on z cienkiego winka powoli przechodził na gatunki coraz lepsze i lepsze. Przy okazji pomysł kupowania samochodu zaczął nam się wydawać coraz bardziej nedorzeczny: no bo jak przetransportować taki wrak do Polski? Przyczepić? Ale do czego? To już nie lepiej kupić porządny nowy skuter zamiast starego autograta?

Jeszcze jedno mleko, jeszcze jeden kieliszek bordeaux dla Adama i... powtórka postawiona nam przez jakiegoś brodacza. I znowu rewanz Adasia. Chyba znienawidzę mleko do końca życia - pomyślałam.



Pomalowana na złoto i z loczkami
w filmie telewizyjnym Ryszarda Plucińskiego



Tę fioletową chustkę
– tu w 1968 roku – nosi teraz
w 2012 moja córka. Może moda hippie wraca?



W moim paryskim mieszkaniu na kolanach Kisiela dwa miesiące przed jego śmiercią

Skąd ten idiotyczny pomysł? Co mnie napadło? Ale trzeba wyjść z twarzą, teraz nie mogę się już wycofać.

Następny kubas był już przy placu Republiki. Adam, sącząc Côtes du Rhône, zaczął raptem podkreślać zalety jazdy na rowerze: na powietrzu, no i ten wysiłek fizyczny, bardzo korzystny dla organizmu. To nie to co siedzenie na jakimś skuterze. Sam ojciec Krysi jeździ na rowerze co dzień, i to dobre kilka kilometrów!

Następne mleko dostałam zimne chyba przez pomyłkę. Kieliszek pinot noir Adama był podobno znakomity, jego francuski też jakby coraz odważniejszy, choć dopadła go jakaś czkawka, powodując lekkie jękanie się i zacinięcie.

W knajpce przy placu Bastylli doszliśmy do wniosku, że rowery polskie są znacznie lepsze od francuskich - przynajmniej jeśli chodzi o cenę. Adam rozkręcił się zupełnie i postawił jakimś obcym draniom butelkę szampana, a mnie - podwójną porcję mleka. Jejku, dlaczego jestem taka uparta, od dziecka gotowa zjeść choćby i żabę, byle nie przyznać się do błędu?! Teraz z resztą żaba byłaby wyśnionym daniem w porównaniu z tym wstrętnym, mdłym i ohydnie słodkawym napojem, którego byłam już pełna po dziurki w nosie. Zresztą później się dowiedziałam, że moje katowanie się mlekiem z oszczędności nie miało sensu - we francuskich kafejkach jest ono znacznie droższe od wina.

Idiotyzm mojego samoudręczenia był oczywisty i doprowadzał mnie wręcz do mdłości. Akurat gdy była minuta do północy i wszyscy zaczęli się ze wszystkimi całować, poczułam, że muszę natychmiast lecieć do toalety. Pochylona nad muszlą klozetową w brudnej kabinie, przy akompaniamencie dwunastu uderzeń zegara wylewałam z siebie cysterny dymiącego mleka. Wychodząc z toalety, przysięgam sobie, że nigdy w życiu nie wezmę do gęby nawet kropli tego ohydztwa.

W drodze do stolika wpil mi się w wargi jakiś postawny brunet.

- Wszystkiego najlepszego w nowym roku, jestem Polak!

- Ja też wszystkiego. I też jestem Polką.

- No tak, ale ja jestem Robert Polak. Ach, jak pani cudownie pachnie i smakuje... ciepłym mleczkiem. Jak szczeniaczek z Hłaski - pamięta pani?

Pamiętałam, bo Hłasko to dla mnie jedyny wspaniały polski pisarz. Adam, bardzo zadowolony, bełkotał coś przy barze do polskich kumpli, którzy udawali ruskich kucharzy.

- Stary, jak chcesz kupić prezent babie, leć do Tatiego. Niedrogo i bardzo porządny towar. Polskie komisje tylko to sprzedają! - radził mu wąsaty grubas z akordeonem.

Dwa dni później, wytrzeźwiawszy, Adam poleciał do Tatiego. Po prześladowanej nocy sylwestrowej okazało się, że zostało mu tylko na skarpetki. Ja wciąż czułam się nie najlepiej.

- Jeśli masz jakieś kłopoty żołądkowe, musisz leczyć się prostymi, ludowymi środkami. Już wiem! Napij się grzanego mleka, to najlepsze antidotum na wszelkie zatrucia - palnął.

Ja nie cierpię mleka. Od tego sylwestra nie przełknęłam ani kropli. Jestem pewna, że po prostu mi szkodzi. Organizm go nie znosi.

Jednak to nie ta dobra rada była najgłupszą rzeczą, jaką wtedy zrobił. Tę jedną jedyną parę skarpetek, którą zamiast auta kupił swojej Rudej, zgubił. Ale Krysia i tak (z litości?) została jego żoną.

I do dziś jeździ na rowerze. Polskim.



Ani deszcz nie padał,
ani nie było słońca.
Wszystko oszustwo...



Trochę zakochana,
trochę smutna...

GAUMNOT -PALACE

Siedziałam skurczona na podłodze sceny w opustoszałym teatrze. Obok drzemał Claude, przystojny kaskader. Była piąta rano, kiwałam się ze zmęczenia, ale zdenerwowanie nie pozwalało mi zasnąć - zresztą bałam się, że przegapię zapowiedzianą wizytę policji z komornikiem.

Z dnia na dzień zostałam bez pracy, bez pieniędzy, bez środków do życia - dla mnie i dla syna. W polskim hotelu przy ulicy Lamande, w którym mieszkaliśmy, już nam zapowiedziano, że musimy się wyprowadzić, i to jak najprędzej. Zaczął się tam generalny remont, i tak już byliśmy ostatnimi mieszkańcami: ja z synkiem i moja przyjaciółka Magda wkradająca się do nas co noc jako dziki lokator.

Co teraz będzie? Co począć? A jeszcze dwa miesiące temu taka byłam szczęśliwa, tak się cieszyłam, że nareszcie się ułożyło...

No bo - myślałam - nareszcie pierwszy kontrakt z prawdziwego zdarzenia! Po przebidowaniu kilku pierwszych miesięcy w Paryżu, po bezowocnym poszukiwaniu pracy w moim zawodzie (chodzenie od teatru do teatru i pytanie kasjerek łamaną francuszczyzną o zajęcie dla tancerki nie na wiele się zdawało). Aż tu nareszcie przypadek sprawił, że trafiłam na właściwego człowieka, który zaproponował mi właściwą robotę.

Właściwy człowiek był czarny jak gorzka czekoladka, ruszał się jak młody bóg, wspaniale śpiewał ciekawym, zachrypniętym głosem i był uznany za najlepszego w tym czasie choreografa w Paryżu.

Ale tuż po przyjeździe nad Sekwanę jeszcze tego nie wiedziałam. Ciągnąc kilkuletniego Kaspra za rękę, przemierzałam co dzień kilometry paryskich bruków w poszukiwaniu pracy. Mój Kasper już pierwszego dnia swojego pobytu w Paryżu stanął jak zaczarowany przed witryną fast foodu Wimpy (McDonaldy jeszcze w Paryżu nie zaistniały) i widząc ludzi pałaszujących olbrzymie porcje lodów, poprosił:

- Skoro wtedy w Krakowie z tą melbą się nie udało, to czy teraz mógłbym dostać takie lody?

- Oczywiście. Jak tylko mamusia dostanie pracę.

Skąd miałam wiedzieć, że pierwszy kontrakt podpiszę dopiero za dziewięć miesięcy? Z każdym dniem coraz bardziej rozpaczliwych poszukiwań mój zapal słabł, tym bardziej że w zastraszającym tempie topniały też pieniądze z przejechanego samochodu. Dziecko nie dostawało obiecanych lodów, a ja widziałam naszą przyszłość w coraz ciemniejszych barwach.

Któregoś dnia spotkałam Jurka, kolegę jeszcze z czasów szkoły baletowej tańczącego teraz w Folies Bergere. Powiedział mi, że jakiś (podobno świetny) choreograf przygotowuje spektakl z Tino Rossim i być może nie ma jeszcze kompletu tancerek. Kazał mi zaraz biec do teatru Mogador i wdrzeć się (nie od strony kasy, ale wejściem dla artystów - od sąsiedniej ulicy) na scenę, na której odbywają się próby.

Pobiegłam. Postawiłam Kaspra na ulicy, przed wejściem kazałam mu trzymać się drzewa, żeby się gdzieś nie zgubił - i wpadłam do teatru.

Murzyn tańczył cudownie! Nigdy nie widziałam nikogo, kto ruszałby się tak płynnie, z takim swingiem, kto tak sprawnie i z takim temperamentem ustawiałby tancerkom choreografię.

Nie słuchając moich zawiłych wyjaśnień, kazał mi od razu zająć jedyne wolne miejsce. Choć miałam na sobie gruby sweter, wełniane spodnie i zwykłe, ciężkie buty, zaczęłam szybciotko powtarzać nieznane mi ruchy, imitując smukłe i żwawe tancerki, które wydały mi się rewelacyjne. Victor, bo tak miał na imię, w szalonym tempie opracowywał liczne układy, rzucał nowe propozycje, powtarzał ruchy i zmieniał je na takie, których istnienia nawet dotąd nie podejrzewałam. Tak, to jest to, co chciałam robić od dawna! Tak właśnie chciałam tańczyć! Pot zalewał mi oczy, trema wywołała walenie serca i drżenie nóg, niewygodne buciory groziły upadkiem - ale dawałam z siebie wszystko. Za wszelką cenę próbowałam dorównać tancerkom, z których najslabsza była znacznie lepsza od wszystkich warszawskich primabalerin.

Po kilku godzinach próby drzwi nagle się otworzyły i wpadła piękna dziewczyna z długimi blond lokami.

- Cześć, Victor, mój pociąg miał opóźnienie, ale już jestem! - i odepchnąwszy mnie stanowczo, zajęła miejsce, które już sobie naiwnie przywłaszczyłam.

- Świetnie! - ucieszył się. - A ty, Polka, zostaw mi swój telefon. Zadzwoń, jak będę cię potrzebował.

Nie wytrzymałam:

- Ty tchórze! - wrzasnęłam. - Nie masz odwagi cywilnej, żeby mi powiedzieć, że nie umiem tańczyć tak dobrze jak te twoje dziewczyny?! Że mnie niczego w tej Polsce nie nauczono?! Że jestem stara, gruba i do niczego się nie nadaję?! Telefonu ci nie dam, bo mnie na telefon nie stać! Mieszkam na szóstym piętrze bez windy i nie mam nawet ciepłej wody! A ty jesteś ohydny sale negre! - przywaliłam mu rasistowską inwektywą, najgorszą, jaką znałam.

Wybiegłam na dwór. Złapałam za rączkę Kaspra, który mimo ulewnego deszczu wciąż stał pod drzewem, i łkając, wróciłam z nim biegiem na to nasze szóste piętro (bez windy).

Po dwóch tygodniach przyszedł telegram:

„Przyjdź do mnie do teatru, jesteś świetna, takiej tancerki szukam od dawna. Proponuję ci na razie telewizję w Amsterdamie, występ w prywatnym klubie Onassisa w Grecji i rolę prowadzącej tancerki w nowym spektaklu w Gaumont-Palace”.

Podpisane: „Sale negre”.

Podobno szukał mnie po całym Paryżu, choć nie znał nawet mojego nazwiska. Trafił wreszcie na Jurka - i to od niego dostał mój adres.

Nareszcie! Prawdziwy kontrakt, i do tego jaki! Zaprowadziłam Kaspra do Drugstore Champs Elysees i zamówiłam mu największe lody z karty: kilkanaście kulek w różnych smakach, posypanych kolorowymi trocinami,



Czy to zdjęcie z legitymacji matki
rodziny wielodzietnej,
czy studentki Sorbony?



Z przyjaciółką Magdą
i z małym Baltazarem

przybranych kandyzowanymi owocami i zalanych gorącą czekoladą. Z czarnej, wielkiej miski wyrastała góra bitej śmietany. Jadł, jadł i jadł... zwolnił tempo, chwilę odpoczął - i znowu jadł. Po jakiejś godzinie do opróżnionej ledwie do połowy czary kapały mu łzy.

- Czemu płaczesz? Ząb cię boli? - rzuciłam zmartwiona.

- Bo tak o tych lodach marzyłem, a teraz nie mogę ich dokończyć... Zamieszkaliśmy w polskim hotelu na ulicy Lamande, żeby było blisko do teatru, który mieścił się przy placu Clichy. Po miesiącu prób miały zacząć się spektakle - codziennie po trzy lub cztery - według porządku: seans filmowy, wytworne jedzenie dla publiczności, nasz spektakl. Gwiazdą był Antoine, śpiewak do dziś znany z telewizji francuskiej. W przedstawieniu brało udział dwudziestu czterech kaskaderów, tyleż tancerek, stado koni, jakieś kury i trzy słonie.

Przywieziono też z Hiszpanii byka, który miał być okropnie groźny. Do wielkiej klatki mieli wskakiwać drażniący go kaskaderzy, a my, tancerki, miałyśmy tylko pisać. Na wszelki wypadek ustawiłam się obok drabinki strażackiej, by móc czmychnąć na górę. Ale na pierwszej próbie byk w ogóle nie chciał wyjść na scenę. Zapierał się wszystkimi czterema racicami, w końcu wtoczył się na środek areny ciągnięty na sznurze i ponaglany szturchańcami w zadek. Oślepiiony światłami reflektorów mrugał tylko nerwowo, próbując uniknąć straszących go kaskaderów. Na koniec rozkraczył się i zesiusiał ze strachu. A ponieważ przez trzy kolejne dni zachowywał się podobnie, został karnie odesłany do Hiszpanii.

Słonie były o wiele lepszymi artystami. Trzymając się grzecznie trąbami za ogonki, włączyły specjalnie dla nich zbudowanym pomostem na scenę, trochę wachlowały uszami, słuchając śpiewającego na grzbiecie jednego z nich Antoine'a - po czym gęsiego wracały do swojej budy na podwórku. Stajenny twierdził, że muszą mieć więcej ruchu, więc wyprowadzał je w nocy na spacer. Trzymając się za ogonki, obchodziły więc wielokrotnie klomb na środku placu.

W polskim hotelu poznałam przemiłą panią Magdę, inżynier architekt. Jak wszyscy zastanawiała się, czy ma zostać na stałe. I jak wszyscy szukała jakiegokolwiek pracy. Zaprowadziłam ją do mojej dyrekcji, kłamiąc bezczelnie, że była garderobianą w Operze Warszawskiej i chętnie obejmie takie stanowisko w Paryżu.

- Świetnie! - ucieszyła się kierowniczką pracowni krawieckiej. - Jako garderobiana oczywiście umie pani szyć, więc może kostium dla Antoine'a? Nie? No to któryś z kostiumów Krystyny. Też nie...? W Polsce garderobiane tylko zapinają guziki? No dobrze, to proszę uszyć kostium dla słonia. Taka okrągła kapa, trzeba tylko naszyć na nią błyszczące guziczki, cekiny, złote kutasiki i inne ozdóbki.

Szycie nie było najmocniejszą stroną pani architekt, więc zabierała kostium do domu. Ściobolila z jednej strony, ja z drugiej, nawet Kasper naszywał pracowicie liczne perełki, frędzelki i koraliki. Po dwóch tygodniach wreszcie skończyliśmy i kierowniczką kazała Magdzie iść przymierzyć słoniowi szatę.

- Ale ja się boję... - wydusiła moja malowana garderobiana.

- Jak to? Przecież każdy garderobiany przymierza kostium artyście, dla którego szyje! No dobrze, pójdę z panią - obiecała zrezygnowana kierowniczką.

Słoń patrzył na nie bez sympatii. Magda zadekowała się blisko drzwi stajni, a kierowniczką postawiła swoją torebkę na zasypanej trocinami podłodze i zaczęła się wdrapywać na drabinę, którą stajenny przystawił do boku słonia.

Wtedy zwierzak błyskawicznie złapał trąbą torebkę kierowniczką i wsadził ją sobie do paszczy.

- Za późno, połknął! - krzyknął stajenny. - Nie ma pani wyjścia: trzeba czekać, aż przetrawi i zwróci. Będę co dzień sprawdzał łopatą.

Jakoś mniej entuzjastycznie kierowniczką zarzuciła kostium na grzbiet słonia, ale ten, rozochocony, powtórzył numer sprzed chwili

PACHACAMAC

EN ECOUTANT L'AUTOMNE



Czterech Francuzów, a grają muzykę południowoamerykańską.
Mój mąż po prawej na dole

PACHACAMAC



Tu też mój mąż,
pierwszy z prawej

- złapał kapę w trąbę i zaczął ją sobie pakować do paszczy. Przytomny chłopak stajenny próbował ratować kostium, wydzierając go słoniowi z pyska - tyle że wymiętoszony i zaśliniony, z oddartym kawałkiem nie nadawał się już do niczego. Przez następne kilkanaście dni Magda znowu przyszywała błyskotki - tyle że już na trzech identycznych słoniowych kostiumach.

Nadeszła premiera: wszystko się udało, publiczność dopisała, recenzje były niezłe. Brałam udział aż w siedemnastu obrazach, Magda ofiarnie pomagała mi w szybkich przebiórkach za sceną. Miałam świetną linię. Schudłam do czterdziestu sześciu kilogramów - pewnie także dzięki temu, że kilka razy dziennie biegałam między teatrem a hotelem, by nakarmić synka, o pomaganiu mu w lekcjach i tak nie było mowy. Kasper się zawiązał - i przy końcu roku awansował na drugiego ucznia w klasie.

Pierwszym był, według jego relacji, niejaki Si Szo Ki. - Może to Chińczyk, z takim nazwiskiem? Nie? Zwykły biały, blondyn z niebieskimi oczami? Spytaj go o narodowość! - poleciłam synkowi.

Okazało się, że Si Szo Ki jest... Polakiem. Nazywa się Suchocki.

Pod koniec pierwszego miesiąca przedstawień gruby i dostojny impresario wręczył nam wypłatę. W czekach. Po kilku dniach okazało się jednak, że forsy nie ma, czeki są bez pokrycia. W teatrze zawrzało - niektórzy artyści od razu z hukiem odeszli, pozostali członkowie zespołu ogłosili strajk. Impresario, niedbale strząsając popiół z równie jak on grubego cygara, zapewniał nas, że to tylko jakieś drobne nieporozumienie, bo bank na czas nie załatwił przelewów. Ale mamy się nie martwić, bo w następnym miesiącu dostaniemy wszystkie zaległe pieniądze - i jeszcze premię za zwłokę... Takiemu eleganckiemu, pewnemu sobie dżentelmenowi nie sposób było nie wierzyć. Jako jedna z ośmiu tancerek, które pozostały jeszcze w teatrze, zabrałam się do ratowania programu. Zamiast w siedemnastu brałam teraz

udział we wszystkich dwudziestu sześciu obrazach. Magda, spocona za kulisami jak mysz, przebierała mnie tak szybko, jak tylko mogła. Natomiast prywatny impresario Antoine'a pojawiał się w każdej przerwie i groził, że jego gwiazda nie wyjdzie na scenę do drugiej części, jeśli on natychmiast nie zainkasuje codziennego honorarium. Rzecz jasna w gotówce.

Inkasował. Program trochę kulał, ale szedł jeszcze przez miesiąc. I znów w dniu wypłaty okazało się, że pieniędzy nie ma. Tym razem nie było jednak nawet czeków bez pokrycia. Impresaria też już zresztą nie było, bo podobno musiał wyjechać gdzieś do Ameryki Południowej w pilnych sprawach. Od tej pory nigdy już we Francji się nie pokazał.

Zrozpaczona usiadłam z Magdą i niedobitkami z zespołu na sali teatralnej. Jeden z kaskaderów, Claude, zagrzewał nas do czynu:

- Nigdy już grosza nie zobaczymy! Jedyne wyjście to wziąć, co się da. Ja biorę aparaturę, stół do miksażu i głośniki. Ty, Nicole, jeśli chcesz, weź kurtynę i dwie kury. A wy, Magda i Krystyna, co chcecie? Bierzcie, co się wam tylko podoba, i zwiewajcie! Ale nie, zaraz, przedtem wezwę komornika, adwokata i policję, żeby stwierdzili stan rzeczy. Ja tam nie wierzę w jakikolwiek rezultat, ale jeśli się upieracie przy wytaczaniu procesu, musicie mieć dowody.

Drżąc ze strachu i poczucia winy, zapakowałam do torby botinki, w których tańczyłam kankana, i czarną perukę z loczkami. Magda wzięła z kuchni trzy talerzyki, trzy widelce i trzy kubeczki. Używaliśmy ich potem - Magda, Kasper i ja - przez długie miesiące.

Siedziałam na opustoszałej scenie, brudnej i odartej z kurtyny - odarta z marzeń.

Claude podchrapywał. Od czasu do czasu budził się, ale zamiast mnie pocieszać, za każdym razem pogrążał mnie w głębszej rozpacz:

- Teraz to nawet żadnej roboty nie znajdziesz. Wyobrażasz sobie dwadzieścia cztery bezrobotne tancerki naraz? Przecież one już biegają od

teatru do teatru, od kabaretu do kabaretu, żeby zająć jakiegokolwiek jeszcze wolne miejsce...

- ...i po co się tak upierasz, żeby czekać na komornika? Przecież tylko będziesz musiała mu zapłacić! Naprawdę wierzysz w jakąś sprawiedliwość? Facet nas naciął, i już. Nigdy grosza ani ty, ani nikt z zespołu nie zobaczy...

- ...jeden Antoine nieźle na tym wyszedł. Dzięki temu swojemu agentowi tak się obłowił, że może teraz jechać w podróż dookoła świata. A wy...?

- ...mnie tam wszystko jedno, mogę z wami czekać na tego komornika. Jak się tak uparliście, róbcie proces. Pewnie nawet wygracie, ale kto wam zwróci forszę?

Dopiero po długim czasie przekonałam się, że Claude miał rację. Komornik przyszedł dopiero o dziewiątej rano, sporządził protokół, za który kazał sobie słono zapłacić. Oddaliśmy sprawę w ręce dobrego (czyli drogiego) adwokata. Po dwóch latach wygrałyśmy, tyle że impresario udał się w nieznanym kierunku, więc forsy nie miał nam kto oddać. A Antoine przestał śpiewać, ale wciąż jest sławny. Kupił sobie jakąś niezłą łajbę i pływa dookoła świata, kręcąc reportaże wideo, które często puszczają w telewizji...

Rankiem, po kolejnym przebudzeniu, Claude oświadczył mi, że już dawno poszedłby do domu, że nadziwić się nie może mojemu głupiemu uporowi i naiwności - ale żał mu mego dzieciaka, który nie jest winny temu, że ma głupią matkę.

- Dobra - stwierdził wreszcie. - Jadę sobie na dwa tygodnie na narty, w tym czasie możecie we trójkę u mnie zamieszkać. Zwrócisz mi tylko za komorne, ale potem natychmiast się wyprowadzicie... Już wiem: do Marie Therese, ona ma dziesięciodniowe występy w operetce w Tours! A w przyszłym miesiącu możecie pójść do Mauricette - jedzie na trzymiesięczny kontrakt tańczyć do knajpy w Hiszpanii. Ale między tymi

dwiema okazjami są cztery dni przestoju - musisz sama coś znaleźć na ten czas.

W sumie przeprowadzaliśmy się dziewięć razy: z polską pierzyną, garnkami, wszystkimi bambetlami i kartonem zabawek. Metrem, bo trzeba było oszczędzać. Przez te cztery dni Kasper spał u kolegi z klasy, a ja się pętałam - dwa dni u koleżanki pod Paryżem, jeden nocleg na waleta w szpitalu (odwiedziłam znajomą po operacji i jakoś mi się zostało) i jeden - głównie przy telefonie, próbując się do kogoś wkłęcić.

Na razie Claude znów się ocknął - i lekko przeciągnął.

- Jak już nic nie znajdziesz lepszego, znam faceta, który jest właścicielem prywatnego klubu nocnego. Szuka tancerek, które muszą z taką werwą improwizować na scenie, żeby gościom też się chciało tańczyć. Ale uprzedzam: to okropnie męczące, bo skaczesz całą noc za parę groszy. Dno. Nikt tam nie wytrzymał dłużej niż parę dni. Ale ty - kto wie. Jesteś jakaś taka zażarta...

Następnej nocy zażarcie tańczyłam w tym klubie. Bo wrodzony optymizm i wola walki nie pozwoliły mi nigdy w życiu się załamać. Tylko dzięki nim dzień po dniu rozwiązywałam kolejne problemy: gdzie się przespać czy skąd wziąć na obiad dla dziecka.

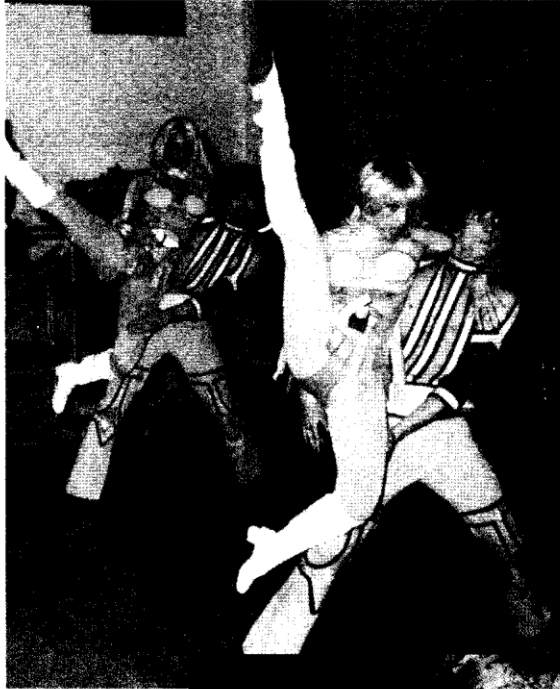
Któregoś dnia podałam Kasprowi kotlecik i kupę klusek. Obie z Magdą jadłyśmy same kluski. Mały zażądał wyjaśnień.

- Nie jemy kotletów, bo się odchudzamy - próbowałam znaleźć jakiś wiarygodnie brzmiący wykręt.

- Ale w szkole pani mówiła, że proteiny są bardzo potrzebne i że właśnie lepiej nie jeść klusek, a zjeść mięso. A co będzie na deser?

Zamarłam - ostatnie franki były już wydane, następnych parę miałam przynieść dopiero rano, po kolejnych tańcach. Wtedy Magda bez słowa ubrała się i ruszyła w kierunku drzwi, rzucając mi na pożegnanie: - Jak dziecko żąda, Bóg je wysłucha.

Wróciła po chwili z pomarańczą w dłoni.



Spektakl w prywatnym klubie Onassisa w Atenach. Spójrzcie na nogi – kto ma wyższy poziom: ja, polska tancerka, czy tancerka francuska?



Oglądam partyturę opery napisanej na moją cześć. Mam wierzyć kompozytorowi Laurentowi Petigirardowi?

- Ukradłaś pomarańczę?! - spytałam przerażona.

- Skąd, wyszłam i coś mnie walnęło w głowę! Widać komuś spadła z balkonu. Mówiłam ci, że jak dziecko żąda...

To wszystko miało się dopiero wydarzyć. Na razie, czekając na komornika i policję, siedziałam koło Claude'a na brudnej, opustoszałej scenie Gaumont-Palace. Słuchałam jego chrapania i rozmyślałam o kolejnej dziwacznej nocy, którą spędzam z mężczyzną.

I o tym, że chyba kiedyś te noce opiszę. Może w jakiejś książce.



Tu wyglądam zupełnie porządnie. Pozory mylą?

GO-GO CLUB

Nóg już w ogóle nie czułam.

Ciasno opięte wysokimi do pól uda plastikowymi botkami ledwie trzymały się reszty ciała. Siedziałam, ledwie dysząc, na wysokim stołku barowym, a one, niczym dwie protezy, wзираły smętnie spod lśniących czarnych miniszortów. Czerwone, szczypiące od kleju do sztucznych rzęs oczy kleiły mi się ze zmęczenia. Pot, spływając rowkiem między piersiami, w okolicy brzucha rozlał się na koszulce solidną plamą.

Piłam sok pomarańczowy: jedyny napój, do którego miałam prawo - za to za darmo i bez ograniczeń.

To był mój jedyny służbowy przywilej. Natomiast jedynym moim służbowym obowiązkiem był taniec na malutkiej (dwa na dwa) scenie. Codziennie od dziewiątej wieczorem do chwili, w której ostatni klient wytoczy się z lokalu. Zdarzało się, że byłam wolna już około północy, ale częściej do czwartej, piątej rano.

Klienci przychodzili licznie, bo klub był modny. Miałam prowokować ich do tańca: tańcząc, męczyli się, pocili - a na koniec biegli do baru. Miałam tańczyć z taką werwą i na tyle zaraźliwie, żeby obroty lokalu rosły.

Na szczęście uwielbiałam tańczyć - czy to na scenie Opery Warszawskiej, czy na skleconej z desek estradzie bielańskiej. W wielkim paryskim Gaumont-Palace - czy, jak teraz, jako go-go girl w małym lokaliku Le Roi Lire (wstęp dla wtajemniczonych z kartą członkowską).

Ale chociaż kocham tańczyć, co wieczór z utęsknieniem wypatrywałam chwili, w której w lokalu pojawiał się zespół z Ameryki Południowej. Ich trwający kwadrans występ dawał mi chwilę odpoczynku. I okazję, by napić się soku.

Właśnie przebrzmiały ostatnie dźwięki jakiejś ich egzotycznej melodii, kiedy barman mnie wtajemniczył: - Wiesz, Krystyna, oni dziś grali ostatni raz. Od jutra mamy orkiestrę cygańską.

Szklanka wypadła mi z ręki, prawie spadłam ze stołka. Jak to?! To tak

się mamy rozstać, nie zamieniwszy nawet jednego słowa?! Mowy nie ma! Pobiegłam do szatni. Trzej muzycy już wyszli, czwarty mocował się niezręcznie z własnym futrem, nie mogąc dłonią trafić w rękaw.

To był on. Najprzystojniejszy z nich wszystkich, chyba ich szef - wyczuwałam to z tonu jego głosu, z rzeczowości poleceń. Ubrany zawsze śmiało i kolorowo, uczesany - z przedziałką pośrodku - „na Jezusa”. Regularne, delikatne rysy twarzy, spokój, głębokie spojrzenie.

Ale najważniejsze było w nim to coś... Coś nieuchwytnego, co sprawiało, że co wieczór przybiegałam do tej pracy z radością i nadzieją. Może dziś wreszcie coś do mnie zagada? Może zada chociaż jakieś zdawkowe pytanie? Albo powie cokolwiek, choćby coś banalnego - byle tylko nawiązać kontakt?

Nic. Przez cały miesiąc codziennego mijania się na scenie - nic. Nawet jednego słowa. I teraz odchodzi grać gdzieś indziej.

- Właśnie czekałem... Wiedziałem, że musimy się jakoś jeszcze spotkać. Może podam ci mój numer telefonu? - zaproponował, jakby zupełnie niezaskoczony tym, że do niego przybiegałam.

Nie miałam czasu na odpowiedź, zresztą i tak nie mogłabym z siebie nic wydusić. Zapisałam długopisem na dłoni ten jego numer - i pogalopowałam z powrotem na scenę.

Zmęczenie gdzieś przysło. Tańczyłam jeszcze ostrzej niż zwykle, w szalonych improwizacjach podskakiwałam wesoło, robiłam jakieś przysiady, zalotnie wywijałam głową i kręciłam biodrami - nasłuchując, czy drzwi wyjściowe nie zatrząskują się za moim „Jezusem”.

Nie zatrzasnęły się. Wrócił na salę - jakby nieśmiało, ze spuszczoną głową. Mimo że nawet na mnie nie spojrział, usadowił się tuż przy scenie.

- Muszę załatwić coś bardzo ważnego, poczekam tu na właściciela - usłyszałam jego ciche usprawiedliwienie. Potem, gdy właściciel już

przyszedł, „czekał na kolegę, który zaraz miał wpaść”. Kolega oczywiście nie wpadł, ja wciąż tańczyłam, a na sali zostało kilku niedobitków. Jakiś facet zasnął w rogu kanapy, jakaś para całowała się w kącie. Mój muzyk siedział wciąż blisko mnie, ale wciąż nie podnosząc oczu. Jakby moje tańce były mu kompletnie obojętne.

Raczej wyczytałam z ruchu jego warg, niż usłyszałam: - Chyba już zaczekam do końca, to panią odwiozę. I tak nikt na mnie nie czeka, a samemu w domu mi się nudzi.

Później przyznał mi się, że spod na wpół przymkniętych powiek cały czas z zachwytem obserwował moje produkcje choreograficzne. Nie mógł patrzeć otwarcie, bo zbyt mocno na niego działały i bał się, że wyczytam to na jego twarzy.

Wyszliśmy - było już dobrze po trzeciej. Ponieważ nagle zrobiliśmy się strasznie głodni, zaprosił mnie do całonocnego „chińczyka”. Nie licząc warszawskiego Szanghaju, nie byłam nigdy w restauracji chińskiej. Jak jeść pałeczkami? Co maczać w jakim sosie? Jak pić tę ich dziwną wódkę? I dlaczego te ichnie minigołabki mam zawijać w liście mięty i sałaty?

Cierpliwie udzielał mi kolejnych wskazówek. Przy okazji wyznał, że uwielbia muzykę południowoamerykańską, chociaż jest rodowitym Francuzem. I że nie ma rodziny, ale uwielbia dzieci, „zwłaszcza cudze”. Ja na to, że jestem z synkiem w Paryżu od dobrych kilku miesięcy. I opowiedziałam mu, jak to - w zamian za czeki bez pokrycia - tańczyłam w Gaumont-Palace.

Nie zdziwił się; takie numery były wtedy w tej kapitalistycznej dżungli na porządku dziennym. Za to usłyszawszy, że w naszej trupie były słonie, aż podskoczył z radości. Którejś nocy, gdy wracał do Roi Lire z intensywnego oblewania nowego kontraktu, na placu Clichy zobaczył trzy słonie - i długo zamartwiał się, że to delirium...



Prawie Święta Rodzina. Mąż francuski i trójka moich dzieci: Kasper, Baltazar i Ernestyna, tudzież pies Ogon



Męża wzięłam do Polski, by poznał gorzką prawdę o moim kraju rodzinnym i słodki smak ciastek...



Tu Jean-Pierre gra
na flecie...



...a tu na charango

Rodzice chcieli, by studiował medycynę, tak jak starsza siostra. No to studiował, chociaż mdleje ze strachu przed zastrzykiem, a na widok kropli krwi wpada w panikę. Co wieczór, już po zgaszeniu przez mamę światła, podgrywał sobie jednak (POD KOŁDRĄ) na gitarze. Miesiąc przed końcowymi egzaminami oświadczył rodzicom: - Zły lekarz może ludziom zrobić więcej krzywdy niż zły muzyk. Zostanę muzykiem. Patrząc mi wymownie w oczy, wyznał, że gitara jest jego najczulszą powiernicą i jedyną przyjaciółką.

A na dworze zrobiło się prawie jasno. - No, gdzie mam cię odwieźć? - rzucił, siedząc już za kierownicą swego triumpha spitfire'a. - Do ciebie do domu czy może dasz się jeszcze zaprosić na ostatni kieliszek czegoś dobrego?

Niełatwo było mi się z nim rozstać. Zgodziłam się na ten kieliszek.

- A jedziemy do jakiejś hałaśliwej knajpy czy do mnie do domu? Będzie spokojniej, mam tequilę i chyba jakiś gin...

Czy ten Francuzik sobie za dużo nie wyobraża?! Powinam się natychmiast obrazić i kazać się zawieźć do domu. Ale coś mi mówiło, że nie jest to typ faceta, który po prostu ciągnie dziewczynę na chatę. I czułam, że - z chatą czy bez - sprawa i tak jest zasadnicza.

Przejeżdżaliśmy właśnie pod Luwrem. Do mnie należało skrócić w lewo, do niego było prosto, przez most do Dzielnicy Łacińskiej. - Dobrze - usłyszałam ze zdziwieniem własny głos. - Jedźmy do ciebie.

- Ale pod warunkiem, że za godzinę cię odwiozę z powrotem. Sama mówiłaś, że twój syn chodzi do szkoły. Chyba powinnaś go wyprawić?

Był ujmujący z tą swoją troską o dzieciaka, którego nawet nigdy nie widział. A może to tylko przebiegły dyplomata?

W końcu pojechaliśmy jednak pod mój dom. Długo sterczeliśmy pod bramą, bezładnie, łapczywie i jakby na wyścigi opowiadając sobie o sobie. W pewnej chwili z bramy wychynął mój synek - już z tornistrem, gotowy do szkoły.



Ilustracja
do „Lisa i kruka”
La Fontaine’a.
Polskie lisy się przydały



Scena z filmu „Le Voyou” Claude’a Leloucha. Ja za plecami choreografa Victora Upshawa

- Aaaa... skąd ty znasz, mamó, takiego pana, co ma taaaaakie auto?

- Wyobraź sobie, że ten pan w dodatku jest prawdziwym gitarzystą - odpowiedziałam, wiedząc, że podziw Kaspra dla muzyków jest równie wielki jak jego uwielbienie dla pięknych samochodów.

Oglądając się co chwilę za siebie, mały, chcąc nie chcąc, podreptał do szkoły - a my zaczęliśmy się żegnać. Chciałam jeszcze tylko się przekonać, co ten facet naprawdę do mnie czuje.

- Chyba wrócę do Polski, zresztą niedługo kończy mi się wiza pobytowa - rzuciłam niby mimochodem.

- No, to musisz poprosić o przedłużenie tej wizeny.

- A na ile mam poprosić?

- No, na jakieś piętnaście dni.

Ach, więc to tak! Jak biedna Polka, jakaś tancerczka, to piętnaście dni i po krzyku?! Cynik jeden!

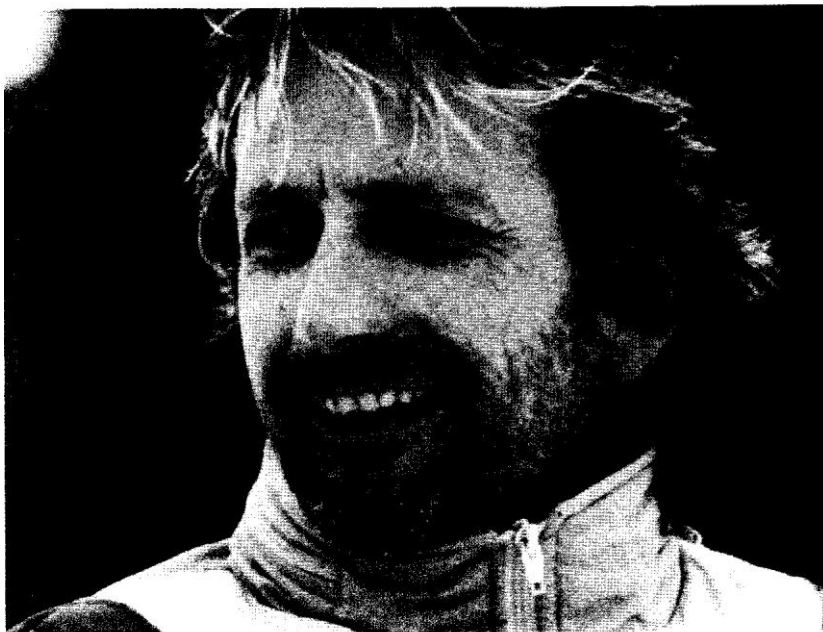
- Eeee, tyle razem nie wytrzymamy. No, ewentualnie wystąpię o trzynaście dodatkowych dni, bo dziś jest akurat trzynasty i to moja szczęśliwa liczba - udawałam luz, choć byłam zrozpaczona.

- Dobrze, trzynaście dni. Ale... z prawem przedłużenia tego naszego kontraktu do trzynastu lat. Zgoda?

Pobraliśmy się parę miesięcy później - trzynastego. Przeżyliśmy razem trzynaście lat, mamy syna i córeczkę, kupiliśmy duże mieszkanie w centrum Paryża i okazały dom z ogrodem na wsi. Mieliśmy psa, dwa koty i górę wspólnych przeżyć. Na czele z tym najważniejszym - z pierwszej nocy, którą dla niego przetańczyłam.



Jean-Pierre z ukochaną gitarą...



...czterdzieści lat później. Wciąż niezły, prawda?

LOTNISKO

Ledwie szlam.

Jedną ręką ciągnęłam solidnie wypchaną walizkę, pod pachą ściskając upolowane gdzieś cudem „Słówka” Boya, a w drugiej trzymałam duży obraz, galgankową lalkę i pięć paczek z pączkami od Bliklego (na wypadek gdybym miała w brzuchu dziewczynkę).

Po tygodniowym pobycie w Warszawie wracałam do Paryża. Jakoś tęsknota - trochę za krajem rodzinnym, ale głównie za ludźmi, przyjaciółmi, których tam zostawiłam - pchała mnie do częstych odwiedzin w Polsce. Właśnie nadarzyła się świetna okazja - byłam w nieźle już zaawansowanej ciąży (mimo kilkukrotnego poszerzania kostiumów nie dało się już ukryć brzuszka), więc Casino de Paris, w którym tańczyłam jako solistka wielkiej rewii, zwolniło mnie na urlop macierzyński.

W Warszawie spędziłam miły dzień, odwiedziłam wielu znajomych i odszukałam pamiątki pozostawione u przyjaciół: zdjęcia, listy miłosne, jakieś dokumenty, legitymację SPATiF-u, świadectwa szkolne... Wypchałam tym walizkę, kupiłam śliczną szmacianą lalkę (na wypadek gdyby to miała być dziewczynka) i zamówiłam u Bliklego - jak przy każdym wypadzie do Warszawy - górę pączków. Do tego doszedł mój portret, który namalowała kiedyś pewna malarka z Wybrzeża. Z braku papieru pakunkowego arcydzieło zostało zawinięte w kilometr papieru toaletowego.

Dyszałam. Samolot odlatywał z Okęcia wcześniej rano, na lotnisku w Paryżu mieli na mnie czekać mój francuski mąż i nasz wierny pies Ogon. Stamtąd mieliśmy jechać prosto do lekarza, na moje ciążowe badania kontrolne.

Odstawszy swoje w długiej kolejce, bezboleśnie przeszłam przez kontrolę paszportową i przeturlałam się do kontroli bagażowej. Celnik popatrzył na mnie bez sympatii i kazał wtaszczyć walizkę na wysoki stół.

Kiedy ją otworzył, niemal wybuchła. Karteczki, kalendarzyki, moje dyplomy z konkursów baletowych i zdjęcia, setki zdjęć, wysypały się naokoło.

- A to kto na tym zdjęciu? - podejrzliwie pytał celnik. - Syn? A ten tutaj? Też syn? A to niemowlę czyje? Też pani? Wszystkie pani? To ile ma pani tych dzieci, kilkadziesiąt?

Tłumaczyłam i tłumaczyłam, że to jeden i ten sam Kasper, tyle że w rozmaitych fazach dzieciństwa. I że - owszem - mam też drugiego, Baltazara (nie, nie kpię sobie z pana), ale jego zdjęcia trzymam w Paryżu, a nie w tej walizce. A ci dorośli na zdjęciach? Ten to jego ojciec, ten to Stefan Kisielewski... Co mnie z nim łączy? Nic oprócz podziwu, ale z jego synem przeżyliśmy razem kilka dobrych lat... Nie, to nie ojciec, tamten też nie. Ten chudy to jest Mrożek, a ten nieduży to Toeplitz. Tak, Toeplitz to ojciec, mówiłam, a obok stoi Tyrmand, też ojciec, ale chrzestny (choć niezupełnie, bo w ostatniej chwili przysłał w zastępstwie swoją żonę Basię). Tu? Też Basia, Basia Zylberowa, a ten to Wilk, tancerz. Ten z brodą to mąż. Nie, nie mój. Jej.

Dlaczego mam ich zdjęcia? I czy ja rozumiem, co to znaczy? A co tu rozumieć? Może rzeczywiście lepiej byłoby wyrzucić te relikwie - a może wcale nie? Spociłam się z tych emocji.

Potem kazali mi rozpakować obraz - bo czy na pewno „pieczętka na pozwoleniu na wywóz dzieła sztuki żyjącego artysty odpowiada pieczętce z tyłu płótna?”. Odpowiadała, tyle że trzęsącymi się rękami nie potrafiłam już na powrót zawinąć obrazu w wymiętoszony papier toaletowy.

Gdy inny urzędnik z zapalem sadysty przekłuwał długą igłą brzuch mojej lalki, jego kumpel, podejrzliwy prześladowca, zabrał się do kartkowania Boya, a potem do czytania moich listów. Nie rozumiał, dlaczego na jednych jest nagłówek „Kotku”, a na innych „Piesku”. Kolor atramentu też mu nie pasował.

Gdy doszedł do podpisów, aż podskoczył:

- No proszę: tu jest podpisane „Tadzieniek” tutaj „Twój Wacek”, a na tym różowym jest „Krzysztof”! Czy umie mi pani wyjaśnić, skąd te różnice?

No chyba stąd, że jestem kochliwa. Byłam już wyczerpana, w głowie mi się kręciło i zaczęło mi się zbierać na mdłości, gdy zbliżył się jakiś oficer z krótkofalówką. Suchym tonem oświadczył, że ponieważ nie znaleziono u mnie żadnych poważniejszych dowodów wrogiej działalności, mogę opuścić kraj. Tyle że dopiero następnym lotem, jutro, bo mój samolot jest już na pasie startowym.

Nerwy mi puściły. Zalałam się łzami, zawodząc: że przecież na lotnisku w Paryżu czeka na mnie mąż i że dzieci miały dostać na deser pączki od Bliklego, i że mam po południu wizytę u ginekologa...

Prześladowcy stali niewzruszeni, więc przeszłam do kontraktaku: kolanem dopięłam walizę i wywijając im przed nosami papierem toaletowym, wrzaskiem zakomunikowałam, że nigdzie się stąd nie ruszę - o ile natychmiast nie wypuszczą mnie z tego ohydneho kraju. Po czym ostentacyjnie zabrałam się do czytania Boya: „Pewna dziewczynka... Świnka... Ernestynka...”.

Jakieś drzwi w głębi korytarza uchyliły się i człowiek w okrągłej czapce, kiwając palcem, wezwał mnie do swojego gabinetu.

- Nie ma mowy! - huknęłam. - Jestem kobietą, a w dodatku gwiazdą. Jak pan ma mi coś do zakomunikowania, niech pan sam się pofatyguje!

Stawił się obrażony, żeby mi zakomunikować, że jeśli będę nadal się tak zachowywała, to w ogóle z Polski nie wyjadę. Odparowałam, jakoś nagle już bardzo pewna siebie, że owszem, że ja wyjadę, i to zaraz, za to on nie wyjedzie. I to długo - ma to jak w banku. Zresztą życzę mu, żeby do końca życia siedział na tym lotnisku i nie mógł wyjechać nawet do Bułgarii.



To mój drugi król
po Kasprze – Baltazar

Pomyśleć,
że się zastanawiałam,
jaki zawód będzie
miał w przyszłości.
Wystarczyło spojrzeć
na zdjęcie





Ogon chyba
węcha mój
brzuch, a może
Baltazara
w brzuchu?



Ogon
jak zawsze
przy mnie...

Poskutkowało. Jakiś inny, chyba jeszcze ważniejszy, mundurowiec zniecka wyrósł tuż obok mnie i łagodnym głosem zaczął mnie uspokajać: poślą mnie najbliższym samolotem. Za godzinę jest lot do Frankfurtu, a stamtąd zaraz mam przesiadkę do Paryża.

- Pani rozumie, musimy tak działać. Jak jest jakiś donos, to nie wolno nam wypuścić pasażera bez szczegółowej rewizji. I tak dobrze, że nie zrobiliśmy pani osobistej, do rosołu.

Do rosołu? Donos? Do dziś nie wiem, komu mogło zależeć na przetrzepaniu mego bagażu. Trochę już udobruchana poprosiłam o zawiadomienie o wszystkim mojego męża - ale i to ich przerastało, bo nie mieli budżetu na telefony zagraniczne. Zwiędła i zasmucona wsiadłam więc do samolotu i po godzinie z okładem wylądowałam na lotnisku we Frankfurcie.

Nie znając tego ogromnego gmaszyska ani języka, obarczona paczkami, walizką, książką, portretem i lalką z dużym trudem przedzierałam się w kierunku właściwego okienka. Oczywiście mimo zapewnień w Warszawie nie było mnie na żadnej liście na lot do Paryża - a na dodatek od kilku dni trwał strajk Air France. Poradzono mi wziąć pobliski hotel i codziennie pytać, kiedy będę mogła odlecieć.

Ale to nie wchodziło w grę. Nie miałam niemieckiej wizy tranzytowej, nie miałam dewiz. Beznadziejna sytuacja.

Było południe. Otworzyłam pierwszą paczkę z paczkami. Po kilku życie wydało mi się trochę znośniejsze. Odsiedziałam parę godzin w poczekalni, atakując co chwila jakieś przedsiębiorstwo przewozowe i wymachując moim biletem LOT-u.

Wreszcie około czwartej, po zjedzeniu kolejnej wałówki od Bliklego, wpadłam na genialny pomysł: zaczęłam symulować atak bólu i krzyczeć - na przemian w moim trzeszczącym, przaśnym rodzinnym języku i po francusku - że jeśli nie polecę szybko do Paryża, do mojego lekarza, to za chwilę mogę tu urodzić.

Dwaj sanitariusze ułożyli mnie na noszach i pędem, gubiąc po drodze moje pączki, zanieśli mnie do lotniskowego szpitala. Na nic zdały się moje protesty - wylądowałam w łóżku, a spocony grubas w białym kitlu usiłował dać mi jakiś zastrzyk. Jakoś się przed nim wybroniłam, ale zaraz potem pojawiła się pielęgniarzka z pigułkami (jej też dałam odpór). Zażądałam przyjscia kogoś, kto mówi po francusku - by wreszcie zrozumieli, że chcę tylko jak najprędzej wyjechać. Daremnie. Zrobiło się ciemno, więc przy nocnej lampce wzięłam się do czytania o przygodach świnki Ernestynki.

W końcu w moim pokoju pojawił się przystojny, błękitnooki blondyn.

- Ou mai madame? Quand mai? (Gdzie boli, pani? Kiedy boli?) - zaczął łamaną francuszczyzną. - Cholera, nie wiem, jak się spytać o termin porodu...

- Polak?! - poderwałam się z łóżka. - To może mnie pan jakoś odeśle stąd do Paryża?

Ale żadnego „jakoś” nie było - pacjent mógł opuścić szpital po minimum dwóch dobach i uiszczeniu opłaty. Oczywiście bardzo wysokiej...

Blondyn przyglądał mi się uważnie - i nagle zaskoczył: - Jezu, czy pani nie jest Mazurówna? Nie poznałem od razu, bo przedtem nie była pani taka gruba. Ale przecież ja się w pani beznadziejnie kochałem! Pamięta pani, jak grałem w klubie Medyka z Krzysiem? Pani się przecież przyjaźniła z jego żoną Agnieszką.

No pewnie, że pamiętam, z Agnieszką przyjaźnię się do dziś! Tak, jej mąż, gdy jeszcze był studentem medycyny, grał w tym warszawskim klubie - ale nie pamiętam z kim. Coś mi mówił, że dał mój numer telefonu jakiemuś koledze, ale na tym się skończyło...

- Skończyło się, bo jestem nieśmiały i nie odważyłem się zadzwonić. A numer możemy zaraz sprawdzić, mam go do dziś w kalendarzyku... 31 41 50.1 mieszka pani na Starym Mieście, prawda?



To moja mała
królowna
– Ernestynka



Jean-Pierre
– Ojciec uparcie
robi zdjęcia
dzieciom



Z Gerardem Wilkiem



Ja wpatruję się
zakochana
w Jeana-Pierre'a,
a on – w struny
gitary!



Numer się zgadzał, adres już nie. Teraz mieszkam w Paryżu i muszę, absolutnie muszę natychmiast wracać do męża i dzieci.

Kiedy on jadł znalezione pączki od Bliklego i opowiadał o sobie, zdążyłam przypudrować czerwony nos i poprawić fryzurę. Tylko z wciągnięcia brzucha nic nie wyszło.

Po studiach pracował w szpitalu na Bielanach. Potem wyjechał do Maroka, gdzie w morderczym upale i niemal bez narzędzi przez kilka dobrych lat robił wszystko - od wrywania zębów po amputacje. Tyrał za grosze, bo lwią część jego dochodów zgarniało polskie państwo, które go na ten „eksport” wysłało.

Po powrocie do Warszawy okazało się, że jego miejsce w bielańskim szpitalu od dawna jest zajęte i - bez własnych pacjentów, bez ciągłości pracy - niełatwo mu będzie na powrót wskoczyć w środowisko. Zaczęły się nocne dyżury, jakieś zastępstwa, zapychanie dziur po innych... Więc przy pierwszej okazji wyjechał i został na Zachodzie. „Tak, tak - warunki tu wspaniałe, pieniądze świetne, wyposażenie nowoczesne, a zawodowców się szanuje. Tylko te wyrzuty sumienia, to ciągle poczucie winy”...

Kiwałam głową, bo też kiedyś miałam to wrażenie, że zdradziłam ojczyznę. Rozmawiałam o tym często z koleżankami tancerkami. Aż w końcu jedna z nich, Angielka, powiedziała mi:

- Mówisz, że aby tu tańczyć, ty ze swego kraju uciekłaś, a ja po prostu wyjechałam. Niby dlaczego? Przecież z nami tańczą Szwedki, Angielki, parę Amerykanek, a nawet Japonki - i żadna nie ma wyrzutów sumienia, że porzuciła swój kraj. Nikt im nie ma za złe tego, że jeżdżą sobie, gdzie chcą i kiedy chcą. Ty to chyba masz jakiś kompleks.

Miała rację, więc postanowiłam z tym kompleksem walczyć. I już chciałam wygłosić przed Andrzejem taką mowę, jaką niegdyś wyprostowała mnie tamta Angielka - gdy przypomniałam sobie o swoim położeniu.

- Musisz mi jakoś pomóc! Nie mam dewiz, nic mi tak naprawdę nie jest, a mój mąż czeka w Paryżu i się pewnie zamartwia. Musisz mnie jakoś stąd wydostać!

Dniało. Na spółkę zjedliśmy ostatniego pączka, którego popiłam wodą z kranu. Andrzej wystawił mi lipne zaświadczenie, że spędziłam w tym szpitalu czterdzieści osiem godzin i za wszystko zapłaciłam. Dwóch sanitariuszy wniosło mnie na noszach do pierwszego porannego samolotu do Paryża.

Na lotnisku czekał na mnie uśmiechnięty mąż z równie rozradowanym psem. Minioną dobę spędzili między Orły a Le Bourget, jeżdżąc w tę i z powrotem od jednego lotniska do drugiego - w rytmie lądowań kolejnych samolotów przylatujących ze wschodu.

Walizka przyszła już poprzedniego dnia. Wydano ją bez problemów, bo psisko wlało na nią okrakiem i szczyrzyło zęby do każdego, kto chciał się zbliżyć. A ja, po kolejnej niewinnej nocy spędzonej z obcym mężczyzną, spałam dwie doby.

Aha, Melchior okazał się dziewczynką. Okrągła i słodka, jak pączuszek. Nazwałam ją - tak, Ernestynka.



Tęsknota? Zaduma?

SULTAN

Ach, jak ja lubię pić szampana!

Szef sali, a także wszyscy kelnerzy pobliskiej restauracji - otwartej do późna w nocy, a w związku z tym uczęszczanej przeze mnie od lat - znają to moje upodobanie. Więc na sam mój widok już w progu strzelają korkami.

Spektakle w paryskich teatrach zaczynają się z reguły dopiero o ósmej trzydzieści lub dziewiętej wieczorem, a kończą około północy. Wtedy właśnie położone w pobliżu nich restauracje wypełniają się wygłodniałymi widzami, a nieco później - artystami. W okolicy mojego paryskiego mieszkania, przy Wielkich Bulwarach, mamy aż cztery czy pięć teatrów. I choć nie tańczyłam w żadnych z nich, po występach w Mogadorze, Bobino czy Casino de Paris właśnie do jednej z tych restauracji przychodziłam na przepyszne kolacje.

Lokal nazywa się Julien i jest wspaniały. W olbrzymiej kuchni uwija się cały zastęp kucharzy i kuchcików, czarodziejów kuchni francuskiej (rzecz jasna nie znajdziesz tu niczego nawet z mrożonki; frytki i bułeczki też robią sami). Wystrój wnętrza zasługuje na - pojawiające się zresztą licznie - pochwały w paryskich przewodnikach kulinarnych. Na ścianach cztery wielkie mozaiki wykonane przez Tretzla, asystenta Alfonsa Muchy, przedstawiają cztery pory roku. Zamiast sufitu - piękny witraż. Nastroju dopełniają olbrzymie ścienne lustra, wieszaki z brązu z ponaczepianymi kapeluszami i torebeczkami z epoki, srebrne patery i wózek do dziczyzny.

Co polecam? A choćby ostrygi na gorąco zapiekane w beszamelu, ślimaczki w sosie czosnkowym, tatar z surowej ryby, perliczkę w sosie śliwkowym, faszerowane porami kabaczki i, powiedzmy, makaron w zielonym sosie z krewetkami... Deser? Proszę bardzo: zapiekana gruszka z lodami waniliowymi i likierem morelowym, sałatka z surowych owoców pod warstwą gorącego karmelu czy lody profitrolki w czekoladzie (kelner wylewają na lodowe kulki z wielkiego srebrnego czajnika).

Szampana pijam przy okazji każdego imienin, urodzin, świąt - i bez okazji. W Paryżu, Nowym Jorku, Tokio - i gdzie się da. Kiedyś nawet piłam go w Omanie, w pałacu sułtana...

A było to tak: któregoś dnia zadzwonił do mnie mój impresario, zdenerwowany bardziej niż zwykle.

- Krystyna, ratuj! Musisz przygotować pełnospektaklowy program tańców i pieśni rosyjskich na prywatny bal u sułtana. Tak, prawdziwego sułtana! Z okazji urodzin jego syna. W Omanie! Nie muszę ci mówić, że świetnie płacą, w dodatku jesteśmy wszyscy zaproszeni na tygodniowe wakacje w jego superluksusowym pałacu. Nie możesz odmówić!

Nie mogłam odmówić!

Największą trudnością było znalezienie odpowiednich artystów. Wszystkie znajome dobre tancerki były zajęte w paryskich teatrach i kabaretach. Mogłam je „wyjąć” na jeden wieczór, ale nie na tak długo. Znałam kilku prawdziwych Ruskich, tyle że dwóch było taksówkarzami, jeden robił jakieś nieczyste interesy, a inny miał ekipę do odzyskiwania długów.

Ten ostatni do niesolidnego płatnika przysyłał zawsze dwóch drabów - chudego, malutkiego, i potężnego osiłka. Mały już na dzień dobry ścisnął dłużnikowi rękę tak, że ten wył z bólu. I mówił: - Widzisz, ja to jestem słaby. Ale jak nie zwrócisz zaraz kasy, to zajmie się tobą mój kolega. Ten to ma siłę. Chcesz spróbować?

Oczywiście nikt nie chciał, chociaż w tym czasie duży tylko stał obok i pochlipywał - bo był bardzo uczuciowy i mocno wzruszał go los krzywdzonych.

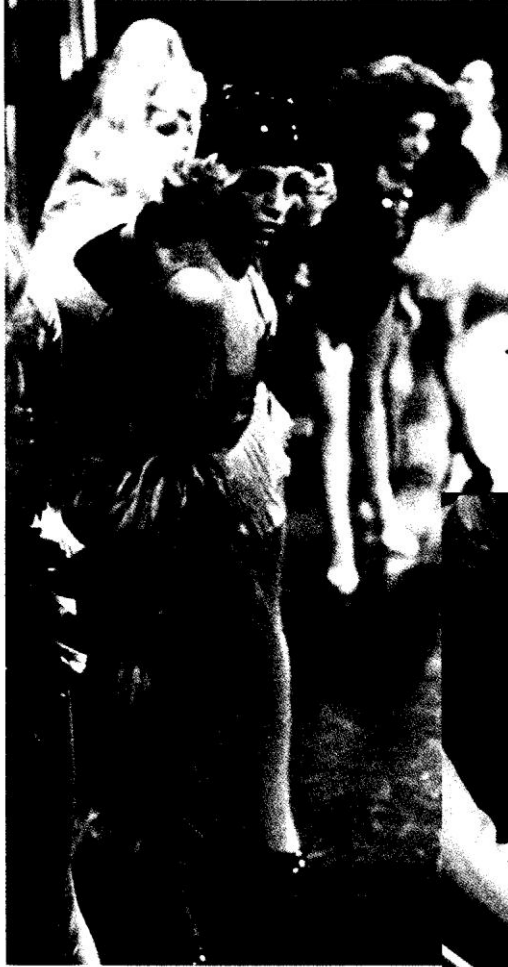
Ale żaden z moich znajomych Ruskich nie umiał śpiewać ani tańczyć. Wzięłam się więc do poszukiwań - przez znajome tancerki, przez biuro bezrobotnych artystów, przez znajomych i wszystkimi innymi sposobami. Wreszcie udało mi się skompletować zespół składający się z jednego akrobata cyrkowego, dwóch piosenkarek i kilku tancerek niemających

pojęcia o tańcach rosyjskich. No i pewnej bardzo ładnej panienki, która ani w ząb nie umiała tańczyć ani śpiewać, ale była niezwykle dekoracyjna.

Intensywne próby i nauka skomplikowanych rosyjskich tańców zajęły nam cały pozostały do wyjazdu czas - ale rezultaty były olśniewające! Akrobata trzepał prysiadki ostrzej niż soliści od Mojsiejewa, a moje francuskie panienki drobiły ruskie kroczyki nie gorzej od tancerek z Bieriozki. I co chwilę wszyscy zagrzewaliśmy się ochoczym „Dawaj!!!”. Piosenkarki, przewracając tęsknie oczami, zawodziły „Kalinkę”, „Oczy czarne” i „Kazaczoka” - tak sugestywnie, jakby naprawdę miały słowiańskie dusze i znały te melodie od urodzenia. Natomiast śliczną panienkę przebraliśmy za matryoszkę, by wyglądała jak malowana ruska baba w babie. Kiedy zobaczyłam całe to towarzystwo przebrane w kapiące od cekinów kostiumy, które wypożyczyliśmy z kabaretu pseudorosyjskiego, aż lśniłam z dumy.

Po wielogodzinnej podróży samolotem, urozmaiconej dwoma niedobrymi Almami, kilkoma średnimi posiłkami tudzież licznymi kieliszkami niezłego szampana, wylądowaliśmy wreszcie w Omanie. Czarne limuzyny zawiozły nas prosto do pałacu. Jako ważna osoba (bo kierownik grupy), dostałam „suite” - trzypokojowy apartament z luksusową łazienką.

Zrazu speszona zawiadomiłam pokojówkę, że chyba ktoś się zagapił i zostawił w łazience kosmetyki Diora. Gdy usłyszałam, że te wszystkie kremy, mydła i perfumy Diora są do mojej dyspozycji, uświadomiłam sobie, gdzie jestem. Kąpiele w basenie na dachu i leniuchowanie w promieniach słońca (w Paryżu szalała zawierucha jesienna) na rozległych tarasach dopełniały uczucia absolutnego szczęścia. Fakt, pokojówki parokrotnie w ciągu dnia przerywały tę moją rozkoszną samotność. Ale ponieważ robiły to tylko po to, by zmieniać olbrzymie bukiety kwiatów, zaofiarować mi kolejne pudło czekoladek lub ustalić, gdzie nazajutrz



Na proscenium
Casino de Paris



W tej samej wielkiej rewii,
tu w roli policjantki

chcę zjeść śniadanie: w łóżku, na tarasie czy w restauracji - czułam się jeszcze bardziej rozpieszczana.

Tydzień tych wakacji minął jak sen złoty. Nadszedł ostatni wieczór. Dzień naszego występu.

Po ostatniej próbie i sprawdzeniu za kulisami, że wszystko działa jak należy, wsunęłam się dyskretnie na salę, by z niej obserwować spektakl. Tłumnie zgromadzone panie były grube, ale eleganckie, natomiast nieliczni panowie - wytworni. Zająłam jakieś opuszczone krzeselko z tyłu, pozwalając, by pierwszy kieliszek szampana wprowadził mnie w dobry humor.

Krótko po prologu tylnymi drzwiami wsunął się jakiś dość przystojny, na biało ubrany mężczyzna. Stanął z boku, tuż obok mnie. Spojrzałam pytająco w jego czarne oczy.

- Niech pani nie zwraca na mnie uwagi. Nie chcę, by zauważono, że tu jestem - szepnął porozumiewawczo.

- Pan pewnie pracuje w kuchni i nie ma prawa wychodzić do gości? - spytałam, rzuciwszy okiem na jego biały strój (dopiero po chwili rozpoznałam, że to smoking).

Spojrzał na mnie baczniej, jakby nieco rozbawiony.

- Niezupełnie... Powiedzmy, że uwielbiam prawdziwy rosyjski folklor i czuję wielką admirację dla tęsknej słowiańskiej duszy. Dlatego zależy mi na obejrzeniu autentycznych artystów z Rosji. Pani z Moskwy?

- A niech Bóg broni! Byłam w Moskwie tylko raz i nie wybieram się powtórnie. Autentyzm? Nie ma w tym zespole ani pół ruskiej duszy. Głównie Francuzki, jedna Angielka, jeden akrobata Meksykanin, a ja - Polka. A ta ładna, co stoi pośrodku i tylko się słodko uśmiecha, to pielęgniarzka z Holandii. Ale ponieważ sułtan zażyczył sobie zespół ruski, niech będzie, że ten jest ruski. Sułtan pewnie baran, nie zorientuje się.

Spoważniał i spojrzał na mnie uważnie: - Baran? Na czym opiera pani tę opinię?

- No, trochę się zagalopowałam... Ale czy pan wie, jak w tym kraju są traktowane kobiety? Te biedne istoty, które nie mają prawa głosu ani niemal prawa istnienia. A to kapiące od złota bezguście? Nie czuje pan w tym czegoś odpychającego?

Nie czuł - i był wyraźnie zdziwiony, że bogactwo może być dla kogoś odpychające. Szeptem wdaliśmy się w długą dyskusję. Powiadomiłam go, że całe to ich poczucie wyższości wobec kobiet to oszustwo i kpina, bo równość pici jest czymś oczywistym i absolutnym. A tak zacofane kraje jak ten, w którym się znajdujemy, nie powinny istnieć.

Początkowo słuchał zachmurzony, ale pewnie szampan zrobił swoje. Odpowiadał uprzejmie i nawet dorzucał komplementy:

- Kiedy mówiłem, że pociąga mnie dusza słowiańska, o to mi właśnie chodziło. Ta pani buńczuczność, te ostre teorie, ta nieobliczalna waleczność i niezależność... Niestety, tu coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Nasze kobiety mają dusze niewolnic - nie ośmielają się odpowiadać mężczyznom ani nawet podnosić na nich wzroku.

Podniosłam na niego wzrok. Owszem, nawet bardzo przystojny z tymi zrosniętymi brewkami i zawadiackim wąsikiem. A może by go tak stąd wyrwać, namówić na przyjazd do Europy? Kiedy tak zastanawiałam się nad pokazaniem mojemu pomocnikowi kucharza kawałka cywilizowanego świata, on wyciągnął z kieszeni kilka zegarków.

- Mam tu parę prezentów dla personelu, zegarki Cartier z okazji dzisiejszych urodzin. Czy mogę pani jeden ofiarować?

- Cartier? No tak, jakieś perfumy też tak się nazywały. Podobno niezłe - nie pamiętam dokładnie, Panthere czy Must... Nie miałam okazji spróbować, bo za drogie. Za ten zegarek dziękuję, ale nie. Niech pan spojrzy - ja mam naprawdę niezły, w kształcie fortepianu. Kupiłam za dziesięć dolarów w chińskiej dzielnicy w Nowym Jorku. Albo wie pan co? Dam go panu! No, niech pan się nie certoli! Niech pan zdejmie tę

swoją podróbkę, to pretensjonalne złotko, i założy coś oryginalnego. Jak znów pojedę do Nowego Jorku, to kupię sobie następny. Był trochę zdziwiony, ale przyjął.

Nie mogliśmy już rozmawiać, bo nadszedł finał i cała sala na stojąco klaskała w takt „Kalinki”. Później były dwa bisy, ukłony, oklaski - i wywołano na scenę najpierw mnie, a zaraz potem sułtanowego syna. Obok mnie stanął mój „kuchcik”...

Ech, ta moja kobieca intuicja... Kiedy biore faceta za księcia z bajki, on okazuje się hochsztaplerem albo kolekcjonerem podrywaczem. A jak trafi się sułtan, biore go za posługacza. I jeszcze pouczam.

Wczesnym rankiem cały mój zespół ruszył w drogę powrotną do Paryża. Każda z tancerek miała na ręku autentycznego cartiera, a ja niosłam w walizce wielkie butle perfum - Panthere i Must.

Chyba muszę znów pojechać do Nowego Jorku, żeby sobie kupić jakiś śmieszny zegarek...

Tymczasem wypiję sobie kieliszek szampana.

Za sułtana!

GWIAZDOR

Wycierałam szklanki, ziewając. Kilka dni wcześniej, oprócz wieczornego zajmowania się barem dla artystów za kulisami paryskiego Casino de Paris, wzięłam dodatkową pracę hostessy na międzynarodowej wystawie biżuterii. Praca była dobrze płatna i przyjemna - w końcu która kobieta nie lubi rozmawiać o klejnotach i przymierzać pierścionków? Jedyny szkopuł w tym, że codziennie o ósmej rano przez okrągły tydzień trzeba było meldować się w czerwonym mundurku w salach wystawowych koło lotniska de Gaulle'a.

Moi klienci, jak to artyści, opuszczali bar w Casino nie wcześniej niż około pierwszej, drugiej w nocy, więc ciągle byłam niewyspana. Ale jakoś dociągnęłam; nazajutrz miał być ostatni dzień wystawy. Jeśli więc tej nocy uda mi się wyskrobać pięć godzin na sen, jakoś dam radę.

Za godzinę na historycznej scenie Casino, na której tańczyły i śpiewały największe gwiazdy (i na której sama przetańczyłam sześć lat), miał się rozpocząć koncert znanego piosenkarza. Kilku muzyków z orkiestry popijało kawę, reżyser przedstawienia zamówił gin z tonikiem, a gruba garderobiana, po spałaszowaniu paczki słonych paluszków, zaatakowała moje zapasy batoników czekoladowych.

Zaczęli też nadciągać zaproszeni goście. Dzięki specjalnym przepustkom mieli wstęp między innymi za kulisy - czyli do zatopionego w półmroku czerwonych świateł baru z wygodną kanapą i uroczą barmanką z nadwiślańskim akcentem.

Wśród nich rozpoznałam znaną aktorkę, telewizyjnego prezentera i popularnego krytyka muzycznego. Przy barze stała też początkująca gwiazdeczka w towarzystwie producenta filmowego.

Po napełnieniu kilku kieliszków szampana i rozlaniu paru kufli piwa uderzyła mnie martwa cisza, która raptem zaległa w moim barze. Zrozumiałam, o co chodzi, gdy podniosłam wzrok znad kontuaru - właśnie wkroczył Eddy, jeden z najslawniejszych piosenkarzy francuskich, którego jego kariera trwa nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat.

Rok wcześniej miał w Casino miesięczne występy, więc czuł się tu jak u siebie. Sprężystym krokiem skierował się prosto do mego kontuaru.

- Cześć, Krystyna! Nalej mi, proszę, jedną whisky. Tylko malutką, taką „baby”, bo lekarz zabronił mi za dużo pić.

- Dzień dobry panu, oczywiście, już się robi!

- A propos: jestem pewien, że któryś z moich muzyków przy okazji tamtych naszych występów nie uregulował wszystkich rachunków za drinki. I nie nazywaj mnie panem, skoro ja ci mówię „Krystyna” - zażądał, próbując mi wręczyć jakiś gruby banknot.

- Nie, Eddy, twoi muzycy to porządne chłopaki. Nie mają u mnie ani franka długu, choć pili na krechę. Ostatniego dnia wszystko zapłacili.

Pamiętam, że najgorszy był wtedy dzień premiery, kiedy bardzo stremowany i zestresowany Eddy piętnaście minut przed podniesieniem kurtyny nagle stracił głos. Cała sala pełniusieńka, a na niej „tout Paris”, łącznie z ministrem kultury. Przyjechała nawet telewizja, by transmitować występ na żywo. Na próżno, bo spektakl odwołano.

Ale następnego dnia, podobno po zastrzykach z kortyzonu prosto w gardło, gwiazdor odśpiewał bez problemów dwugodzinny koncert. I tak już było aż do końca jego występów w Casino.

Po wysączeniu swojej „baby” Eddy zaczął jakoś niezdecydowanie przestępować z nogi na nogę. W końcu wyznał:

- Wiesz, nie wypada mi teraz wchodzić na salę. Zaczekam tu, aż przedstawienie się zacznie i przygaszą lampy. Wtedy łatwiej będzie mi się dyskretnie wślizgnąć. Więc nalej mi jeszcze jedną whisky, ale malutką...

Bar, zrazu pełny, zaczął powoli się opróżniać, by opustoszeć zupełnie w momencie podniesienia kurtyny. Eddy sączył piątą „baby”, a ja opowiadałam mu, jak to z pięcioma dolarami w kieszeni zaczynałam w Paryżu życie emigrantki. W rewanżu pochwalił się, że właśnie kupuje posiadłość na jednej z wysp południowych i zastanawia się, czy warto zainwestować w jakiś zameczek nad Loarą.

Odwzajemniłam się wiedzą na temat sposobów zaciągania kredytów bankowych, gdy w kieszeniach hula wiatr, i wyjaśniłam mu podstawy mojej teorii inwestowania w zakup pokoiów służbowych...

Po kolejnej malutkiej whisky okazało się, że właśnie jest przerwa. Pierwsza godzina recitalu minęła jak z bicza strzelił i rozentuzjzmowany tłum artystów oraz krewnych i znajomych królika wtargnął do baru.

Zziajana napełniałam ledwo co przepłukane kieliszki, parzyłam się kawą, rozlewałam szampana. Eddy'ego oblepił tłum - żądny autografów, protekcji i wsparcia: „Moja córka świetnie śpiewa, czy może ją pan komuś polecić?” „Napisałem dla pana piosenkę...” „Mam znakomity utwór na orkiestrę...”, „Ma pan numer telefonu Hallydaya?” „Ile może pan dać na chore dzieci?”, „Biedne kraje? Opuszczone żony?”. Masywna, kowbojska sylwetka Eddy'ego jakby skurczyła się pod naporem tego obłęzenia. Jego twarda męska twarz z ostro zarysowanym podbródkiem straciła stały wyraz lekkiej arogancji. Nawet wiecznie przyklepione do jego uśmiechu cygaro zdawało się ledwie zwisać z kącika ust...

Między nalewaniem kolejnych kieliszków szampana złapałam jego błagalne spojrzenie. - „Baby?” - spytałam i nalałam, nie czekając na potwierdzenie.

- Państwo będą łaskawi oddalić się od baru, mnie tu duszno. Jak nie, to przestanę nalewać! - zagroziłam. - Poza tym ten pan jest tu prywatnie i nawet nie powinien z wami rozmawiać, bo lekarz zabronił mu za dużo mówić...

Pomrukując ku mnie groźnie, tłum odstąpił od Eddy'ego o krok. Na szczęście rozległ się dzwonek wzywający na drugą część koncertu.

- Pójdę tam troszkę potem - cicho obiecał Eddy, już w to nie wierząc. Bar znów opustoszał, a ja ścierałam porozlewane drinki i opróżniałam przepełnione popielniczki.

Przy kolejnej „baby” Eddy opowiadał mi o kłopotach z dorastającą córką. Pocieszyłam go, choć bez przekonania, że po pierwszych dwudziestu, trzydziestu latach dzieci przynoszą nam już same radości.

- A w ogóle - zatrzymałam się nagle, a piana z gąbki zaczęła ściekać na blat - to ty chyba jesteś bardzo szczęśliwy, co?

- To jedyne pytanie, którego nie powinnaś mi zadawać - posmutniał.

- No jak to? Masz sukcesy, zdrowie, świetną żonę. Forse, sławę. Czego ci jeszcze brak?

- Whisky.

Chcąc go jakoś pocieszyć, opowiedziałam o swej nieodwzajemnianej miłości do Wąsatego. Przestałam pracować, woda kapła natarczywie z niedokręconego kranu, warczała niedomknięta lodówka, cygaro Eddy'ego tliło się w popielniczce.

Dowodziłam, że moje życie jest ciągiem rewolucyjnych zmian, które sama prowokuję i które mnie... zachwycają. Nawet mieszkając w pokoiku na szóstym piętrze bez windy, nawet biegając do przeróżnych prac od rana do nocy, czułam się odpowiedzialna za los, który sobie wybrałam. I byłam szczęśliwa.

- Dlatego ty powinieneś być szczęśliwy podwójnie, bo wszystko ci się udało i niczego ci chyba nie brakuje - stwierdziłam.

- Mówiłem już, że na to pytanie nie odpowiadam. Nalej.

Czekał na koniec spektaklu, by pogratulować Jacques'owi, staremu koledze, w jego garderobie. Potem jednak uznał, że będzie lepiej, jeśli zostawi mu trochę czasu na przebranie się i odpoczynek. Po długich oklaskach tłum wielbicieli znów wdarł się za kulisy po autografy gwiazdy wieczoru - a przy okazji oczywiście też Eddy'ego. Niekończące się napełnianie szklanek, gwar w zadymionym barku i brak snu zaczęły dawać mi się we znaki. Ale i tak rzucałam groźne spojrzenia, stojąc na straży spokoju Eddy'ego.

Wróciliśmy do rozmowy. Powiedział, że dwie młodziutkie prowincjuszki próbujące zaczepić się w Paryżu poprosiły go o pomoc w znalezieniu pracy, mieszkania i sposobu na przetrwanie w tym mieście.

- Mam nawet z nimi spotkanie dziś koło dziewiątej wieczorem w najmodniejszym lokalu na placu Pigalle.

- No ale przecież jest już grubo po jedenastej. Czy one będą czekać?

- Nie ma obawy, one zawsze czekają.

W barze tłum zaczął się już przersedzać na dobre. Nieliczni goście dopijali jeszcze swoje drinki, po chwili opustoszało zupełnie.

Mechanicznie płukałam szklanki, Eddy zabrał się do opróżniania popielniczek. Nalewałam mu właśnie kolejną whisky, kiedy ujrzałam strażnika, który wskazując na zegarek, dawał mi rozpaczliwe znaki.

- Och, już po drugiej! Nikogo nie ma oprócz nas. Zbierajmy się, bo strażnik już dawno temu powinien zamknąć - zarządziłam.

- Ooo, to znaczy, że Jacques mi uciekł... Wyjdę pod warunkiem, że wypijemy jeszcze szklaneczkę whisky gdzieś indziej. Naprzeciwno albo na Pigalle'u.

- Ale tylko „baby” - zastrzegłam i zarzuciłam płaszcz na ramiona.

- Oczywiście! Mogę się na tobie troszkę oprzeć, bo jakiś jestem zmęczony?

Wyszliśmy; ja trochę ugięta pod ciężarem masywnego kowboja, który stawiał niepewne kroki w skórzanych butach z metalowymi noskami. Frędzle jego skórzanej kurtki wplątywały mi się we włosy.

- Chyba nie wezmę mojego auta, jak myślisz, Krystyna?

- Nie, lepiej nie - przytaknęłam skwapliwie.

- A twój samochód? Gdzie stoi?

- Móóój...? Na Polach Elizejskich - wypaliłam. Przystanął: - Dlaczego parkujesz tak daleko?

- Nie parkuję. Na Polach są salony, w których można kupić samochody najlepszych marek. Ja po prostu swojego jeszcze nie kupiłam...



Próba w gdyńskim
Teatrze Muzycznym
u Gruzy



Tu już jako barmanka
w barze Casino

- Aaaa... To może uda nam się złapać taksówkę?

Przekonałam go, że to niedaleko, że dobrze nam zrobi złapanie odrobiny powietrza, a poza tym znam drogę na skróty.

Szliśmy zakosami przez wąskie, uśpione uliczki Paryża. Dochodziła trzecia.

W dali ujrzelśmy sylwetkę mężczyzny pochylonego nad jakimś dużym kwadratowym kształtem. Podeszliśmy bliżej - grzebał w czeluściach kontenera długim, zakończonym kolcem kijem, przyświecając sobie lampką zainstalowaną na czole, jakby był laryngologiem. W kąciu jego ust tlił się niedopalek.

- Proszę się poczęstować - szerokim gestem Eddy wyciągnął cygaro z wytwornej kasy.

Śmieciarz ledwie rzucił okiem i z wyższością wycedził: - Tej marki nie lubię. To miło z pana strony, ale proszę mi nie przeszkadzać w robocie.

Eddy, skonfundowany, po krótkim namyśle wyjął z tylnej kieszeni skórzanych spodni plik pięćsetek.

- A ta marka panu odpowiada? Proszę się poczęstować!

- Tak, tę lubię - przyznał śmieciarz i delikatnie wyłuskał ze zwitka jeden banknot. - Niestety, nie mogę wam poświęcić więcej czasu...

Ruszyliśmy dalej. Za rogiem ciemnej uliczki roztoczył się przed naszymi oczami rozświetlony neonami plac Pigalle. Roześmiane gołe dziewczyny patrzyły z wielkich zdjęć przy wejściach do licznych tu kabaretów i klubów, olbrzymie skrzydła Moulin Rouge kręciły się zachęcająco, woda z kilkupiętrowej fontanny spływała po murze budynku, w którym mieścił się bar - cel naszej wędrówki. Zwarty tłum oblegał wejście, ale nieugięci bramkarze - fizjonomiści wpuszczali - kierując się sobie tylko znanymi kryteriami - wyłącznie tych gości, których uznali za właściwych.

- Proszę się rozstąpić! Pan Eddy z panią! Wolne przejście!!! Królewskie przyjęcie: najlepszy stolik, szampan, wiwaty. Dwie panienki z prowincji cierpliwie czekały na Eddy'ego i jego rady.

- Krystyna też przyjechała do Paryża, wiele lat temu, nie znając nikogo i nie mając zapewnionej pracy ani mieszkania. Wytłumacz im, jak mają się zabrać do szukania - zwrócił się do mnie.

Tyle że małolaty - obie z ostry makijażem, w srebrnych miniówkach i niebotycznych szpilkach - nie wyglądały na szczególnie zagubione.

- Nie sądzę, by moje doświadczenia na coś się panienom przydały. Jest za piętnaście piąta rano; na Pigalle'u szukacie raczej mieszkania czy raczej pracy? - spytałam z ironicznym uśmiechem. - Może i znajdziecie, ale to już nie mój resort.

Eddy przepędził je od stolika.

- Chyba masz rację, naiwny jestem. Chciałem je nawet polecić do pracowni krawieckiej, która szyje kostiumy do spektakli, ale jakoś się nie paliły...

Sączyłam szampana, Eddy whisky. Po odegraniu dwóch czy trzech szalonych kawałków orkiestra zwolniła. Światła przygasły, kilka przytulonych par snuło się po parkiecie.

Tańczyłam z Eddym, bożyszczem tłumów! W głowie mi się kręciło.

- Jestem szczęśliwa. A ty? - wyszeptałam, ale zaraz ugryzłam się w język. I gdy zarzuciłam ręce na jego szyję, spojrzałam na zegarek: szósta trzydzieści! Mam półtorej godziny na dotarcie do domu, przebranie się w czerwony mundurek, umalowanie, wytrzeźwienie i dojechanie pod lotnisko na targi! Czterdzieści kilometrów!

Niczym Kopciuszek uciekłam ze środka parkietu. Eddy wysiał za mną szefa sali, który usiłował mi wlepić banknot na taksówkę i dowiedzieć się, czy nie zostałam aby czymś urażona.

- Nie, nie, wszystko cudownie, ale nie mam już ani chwili czasu!

I pognałam. Taksówka do domu, prysznic, podwójna kawa. Metro, pociąg. Za trzy ósma byłam na stanowisku. Koleżanka przecierała zaspane oczy.

- Wiesz, wczoraj byłam w Casino de Paris. Pó spektaklu długo

czekałam, bo ktoś twierdził, że widział Eddy'ego. Szukałam go na sali, a potem stałam przed wejściem dla artystów do północy. Ale nie wyszedł. To chyba była plotka. Jestem kompletnie niewyspana. Ale... zaraz, zaraz - przecież ty pracujesz w Casino! Nie widziałaś tam wczoraj Eddy'ego? - Co? Nie, nie widziałam...

I przykleiwszy sobie do buzi profesjonalny uśmiech hostessy, przyjełam pierwszych interesantów.

DYREKTOR

- Co ty masz za nogi?! - zapytał mnie pewnego dnia mój syn Baltazar.

- Prawda? - ucieszyłam się. Nawet Jerzy Waldorff, wielki krytyk muzyczny, napisał kiedyś, że to są najpiękniejsze nogi od czasów Marleny Dietrich!

- Może i on umiał oceniać muzykę, ale damskich nóg raczej nie. I chyba niewiele ich widział - skomentował mój synalek. - No ale może od tamtych czasów coś się zmieniło?

Co on chce przez to powiedzieć?!

- Chcę przez to powiedzieć - czytał w moich myślach - że one przypominają dzisiaj raczej serdelki niż damskie kończyny. Powinnaś jak najszybciej zapisać się do jakiegoś klubu sportowego i zaliczyć parę treningów na siłowni. Ratuj sytuację!

Zabrałam się do roboty jeszcze tego samego dnia. Przerazona widmem zamienienia się w wędlinę pobiegłam do pobliskiego „gymnase klubu”, gdzie zajął się mną uroczy i bardzo atletyczny młody człowiek.

- Ach, pani była tancerką? Od razu widać, takie umięśnione nogi! Dobrze pani robi, nie można wypaść z formy. Mogę przygotować dla pani specjalny program - jak dla atletów, którzy nagle przerywają intensywny trening. Możemy spotkać się przy maszynach, kiedy tylko pani odpowiada.

- Jak ja się panu odwdzięczę?! Może da się pan zaprosić na spektakl do Casino de Paris? Pracuję tam. Dziś wieczorem zaśpiewa Shirley Mac-Laine. Przyjdzie pan, dyrektorze? Oczywiście z małżonką.

Małżonka - jak się okazało, stojąca w kącie - nie wiadomo czemu miała skwaszoną minę. Burknęła coś w rodzaju: „To się jeszcze zobaczy”, i jakby obrażona gdzieś odeszła.

Po intensywnych zajęciach, które przypomniały mi minione lata zmagania z własnym ciałem, zmęczona i dumna poszłam do pracy.

Dyrektor „gymnase klubu” już na mnie czekał przed wejściem dla artystów w Casino de Paris.

- Od dawna marzyłem o tym, żeby obejrzeć Casino; nie wspomnę już nawet o dzisiejszym koncercie! Nie rozumiem mojej żony... Nie wiem, dlaczego nie chciała przyjść. Ostatnio bez przerwy o coś się na mnie boczy.

Zaczął się spektakl. Shirley błyszczała na scenie, akompaniujący jej muzycy i inni towarzyszący artyści na zmianę pojawiali się w moim barze. Kolejne butelki szampana, piwo, dziesiątki filiżanek kawy - nawet nie zauważyłam, kiedy zleciała przerwa, a potem druga część programu.

- Dziękuję, dziękuję, bardzo mi się podobało! - rozpląwał się w zachwytach mój dyrektor. - Mogę zostać jeszcze trochę, żeby poprosić Shirley o autograf?

Został z muzykami i dostał swój autograf. Potem gadał z elektrykami i technikami, którzy po pracy odpoczywali przy barze. Gdy już prawie wszyscy opuścili mój bar, zaczął mówić o swoim małżeństwie.

- Jest ciągle niezadowolona, nic jej się nie podoba, chyba się mną znudziła. Niby jest zazdrosna, ale z drugiej strony jest pewna moich uczuć i wie, że zawsze może na mnie liczyć. Może gdybym się odważył nie wrócić kiedyś na noc do domu, zaczęłoby jej bardziej na mnie zależeć? No ale ja jestem wierny.

Pozbierałam szklanki i popielniczki, a potem nalałam dwa kieliszki szampana: - Za zdrowie żony?

Opróżnił ten kieliszek i następny, po czym opowiedział mi historię ich miłości: poznali się w ośrodku sportowym, miała kontuzję, która zakończyła jej karierę w sporcie. Potem on szybko awansował na trenera, a dziś jest dyrektorem jednego z największych klubów treningowych w Paryżu. Ona rzuciła pracę, zgubiła radość życia.

Przy trzecim kieliszku przeszliśmy na ty. Radziłam Christianowi, by namówił żonę do jakiejś pracy (poczucie się lepiej, w jej życiu coś zacznie się dziać). Dyskutowaliśmy o małżeńskiej miłości i o tym, jak ją ratować, gdy przyjdzie kryzys.

Poczułam głód. Która godzina? Jak to za pięć druga?!

Fakt, w barze już od dawna nie było nikogo oprócz nas. Pospiesznie zamknęłam na kłódkę łańcuch lodówki i skierowaliśmy się ku wyjściu. Nie wiedzieć czemu światło na korytarzu było zgaszone. Malutkie lampki bezpieczeństwa pozwoliły nam odnaleźć drogę.

Pomieszczenie wartownika było puste, szafka z kluczami zamknięta, biurko sprząnięte. Zawołałam go - cisza. Podeszliśmy do bramy wyjściowej, lecz potężne, dwuskrzydłowe, zabezpieczone grubymi płytami metalowymi drzwi były zamknięte od zewnątrz na wszystkie cztery zamki. Plus piąty - rygiel blokujący tamte cztery.

Tego jeszcze nie było! Zwykle wartownik zostawał do końca, do jego obowiązków należało sprawdzenie wszystkich pomieszczeń, pogaszenie świateł i obejście całego teatru, by nikt nie został wewnątrz. Dopiero potem mógł zamknąć bramę i iść do domu.

Po pierwszej chwili dezorientacji Jak to? Przecież nie mógł o nas zapomnieć! zaczęliśmy kombinować. W szufladzie znaleźliśmy ogromny pęk kluczy, ale żaden z nich nie pasował do bramy. Christian desperacko próbował je jakoś wyważać, podważać, ale pozostały niewzruszone. Nadzieja na szybkie wydostanie się z pułapki zaczynała w nas gasnąć. Perspektywa spędzenia nocy, a może i całego następnego dnia, z niemal nieznanym mi człowiekiem w zakurzonych kulisach teatralnych nie wydawała się pociągająca.

- A telefon? Może gdzieś w tych papierach znajdziemy numer tego ciecia?! Zadzwonię chociaż do żony. A może na policję? - rzucał, z każdą chwilą coraz bardziej zdenerwowany.

Niestety, centralka była nieczynna - mogliśmy tylko odbierać telefony z zewnątrz. Wróciliśmy więc do kluczy - wprowadzie żaden z nich nie otwierał głównej bramy, ale przecież coś chyba otwierały? I może w tym czymś znajdziemy sposób na uwolnienie?

Na prywatnych
urodzinach,
ale zawsze
przebrana,
zawsze w tańcu



Przetańczyłam
całe życie,
tu na stole
w barze Casino

Po wielu próbach odkryliśmy, że możemy otworzyć komórkę śmietnika, salę prób baletu, pomieszczenia orkiestry i gabinet dyrektora. Szperaliśmy w dyrektorskich szufladach, na półkach i w teczkach w nadziei, że znajdziemy jakiś klucz do tajnego wyjścia - albo cokolwiek przydatnego. Bez skutku.

Zniechęceni wróciliśmy do mojego baru dla artystów. Cała ta bezsilna szamotanina kosztowała nas trochę sił, zrobiliśmy się głodni. Miałam tam tylko czekoladowe batoniki. Zaczęliśmy je zjadać jeden po drugim, popijając szampanem. Humory trochę nam się poprawiły.

- Moja żona będzie nas podejrzewać o nieczne czyny, nie uwierzy w moją niewinność - stwierdził Christian. - Ale chyba miałaś rację: powinienem pomóc jej znaleźć sobie miejsce w życiu; samo bycie moją żoną to trochę za mało. I wiesz co? Może to moje dzisiejsze zniknięcie w Casino de Paris dobrze jej zrobi?

Nie byłam pewna. Zaczęło mi się już kręcić w głowie, a pożarte łąpczywie batoniki tkwiły w moim gardle mdlącą, tłustą kulą. Zaczęłam marzyć o schabowym z kapustą.

Wąskimi, długimi korytarzami teatru ruszyliśmy na rekonesans: garderoby orkiestry, szatnie pracowników technicznych, w małych pokoikach na piętrze porzucone kostiumy z poprzednich rewii. A wśród nich mój kostium do kankana sprzed dwudziestu lat, poszerzony wstęgą koronki w pasie. No tak, byłam wtedy w ciąży.

Przypomniałam sobie, że Casino łączy się długimi podziemnymi tunelami z Theatre de Paris położonym na równoległej ulicy. W końcu udało nam się odnaleźć klucz do drzwi piwnicy. Lepkimi od kurzu i pajęczyn schodkami zeszliśmy piętro w dół i zapuściliśmy się w kręty korytarzyk. Tu nie docierało już żadne światło, na szczęście przezornie zabraliśmy z rekwizytorni latarkę.

W pewnej chwili o mało co nie wpadłam do pustego basenu pod sceną. Przypomniała mi się scena, w której tresowany delfin fikał wokół

skapo odzianej tancerki, by po kilku minutach szybkim ruchem pyszczka zsunąć jedno ramiączko jej stanika, a potem drugie. Dziewczyna zostawała w majtkach - ale tylko na chwilę, bo i je delfin szybko zdejmował. Dalszego ciągu nie było, bo wtedy właśnie wyłączano światło.

Powoli brnęliśmy przez zagracony korytarzyk. Jakieś szelesty, stłumione odgłosy i niepokojące szmery zapierały mi dech w piersi. Marzyłam o własnym łóżku, o dzwonku śledzia w lodówce, nawet o niedojedzonych kartoflach z wczoraj. Coś uskoczyło mi z piskiem spod stóp!

Miałam dość: drzwi w tunelu prowadzącym do sąsiedniego teatru też były zamknięte. Zaczynałam nienawidzić mego towarzysza: co z niego za mężczyzna, skoro nic nie potrafi wymyślić? Ta jego żona ma chyba rację.

Spojrzał na mnie bez sympatii, jakby wiedział, co mi chodzi po głowie.

- Myślałem, że lepiej znasz ten teatr, skoro znajdujesz tu swoje kostiumy sprzed dwudziestu lat - syknął.

Odpowiedziałam pogardliwym spojrzeniem. Po powrocie do baru, zjedzeniu jeszcze paru batoników i poprawieniu kieliszkiem szampana spróbowałam się skupić...

- Wiem! Jest wyjście na pewno niezamknięte na klucz, bo tylko zaryglowane od wewnętrznej strony na zasuwę! Na piątym piętrze za sznurownią są metalowe drzwiczki prowadzące na dach! Latem podczas przerw między spektaklami tancerki wyłaziły tam, żeby się opalać.

Ze skrzydłami u ramion wbiegliśmy na piąte piętro. Scena, dobrze stąd widoczna, ziała wielką groźną otchłanią. Szeregi cienkich i grubych sznurów, niczym wyprężeni na baczność żołnierze, stały na straży tajemnic tego teatru, jego triumfów i porażek. Tu śpiewał Maurice Chevalier, tu tańczyła Josephine Baker, tu występowała Mistinguett. Tutaj też odnosiła sukcesy Zizi Jeanmaire. I ja, dzień w dzień przez sześć lat, jako solistka tańczyłam tu w wielkiej rewii... ostatniej w historii Casino.



Poważna w moim barze. Pewnie się spieszę z tymi kanapkami, bo zaraz przyjdą pierwsi goście



Miałam trzecie miejsce na wyścigach na osle. Były trzy zawodniczki...

Drzwiczki uchyliły się, skrzypiąc cierpiętnicze Dniało. Rześki powiew i chłód poranka sprawiły, że senność gdzieś uleciała. Zaczęliśmy ostrożnie posuwać się po dachu, szukając drogi w dół, na ulicę. Dreptaliśmy w tę i z powrotem, od kominów do krawędzi dachów, od sąsiedniego daszku do rynien - i znów nic z tego. Nadal byliśmy odcięci! Widocznymi w dole pierwszymi przechodniami byli zbyt daleko, by nas usłyszeć w rosnącym szumie ulicy.

I znów powrót do baru. Zostały już tylko cztery batoniki, które tradycyjnie popiliśmy szampanem.

- Wiesz, nie myślałem nigdy, że tak kocham moją żonę. Teraz dopiero widzę, że byłem egoistą, że skupiałem się tylko na sobie. Przyznam ci się, że nawet nie namawiałem jej do przyścia tutaj ze mną. I pomyśleć, że aby zrozumieć, jak wiele ona dla mnie znaczy, musiałem trafić do tego dziwnego miejsca z obcą kobietą!

Obca kobieta zaczęła się już zastanawiać, jak tu wyprostować egoistę, który jej kosztem zyskiwał samoświadomość - ale odpuściła. W końcu od urażonej dumy ważniejsze było to, kiedy ktoś nas stąd wyzwoli. Może strażnik przyjdzie po południu, na przykład żeby rozłożyć trutkę na szczury albo przyjąć dostawę alkoholu? A może wyjdziemy stąd dopiero wieczorem, godzinę przed spektaklem?

Nadzieja na szybkie uwolnienie zaczynała mnie powoli opuszczać. Postanowiłam już nigdy nie wziąć do ust czekolady - i nigdy nie rozwiązywać za barem problemów małżeńskich cudzych mężów.

Zwłaszcza że cudzy mąż chrapał donośnie z czołem wbitym w blat stolika. Ja też zaczęłam powoli osuwać się w objęcia Orfeusza, gdy już w półśnie usłyszałam coś jakby warkot motoru. Przebudzeni zdążyliśmy tylko spłoszonym wzrokiem spojrzeć na siebie, gdy wśród ogłuszającego huku na wielkim odkurzaczu wjechała do baru sprzątaczką.

- A cóż to państwo tu robią o tej porze?! Ładnie to tak? To nie wiecie, że zostawanie w teatrze po zamknięciu jest zabronione? Mam poskarżyć dyrekcji?

Bez słowa rzuciliśmy się ku wyjściu. Biegiem dotarliśmy do bramy i trzymając się za ręce, wypadliśmy na ulicę. Dopiero oślepieni pełnym słońcem przystanęliśmy, wciąż ciasno przytuleni.

Na przeciwległym chodniku stała żona Christiana. Szybko przeszła przez ulicę i utkwiała w nas swoje zaczerwienione od łez i niewyspania oczy.

- Stoję tu od wielu godzin. Widziałam wychodzącą publiczność, widziałam strażnika, przed którym się schowaliście, gdy zamykał teatr. Potem widziałam za oknami jakieś światełka... I was oboje na dachu! Zastanowiłam się nad wszystkim: od dziś szukam pracy, bo chcę stanąć na własnych nogach. Kocham cię i mi na tobie zależy, ale jeśli wolisz ją, to nie będę cię zatrzymywać. Ja czy ona?

- Ale ja kocham tylko ciebie! Nad życie! Ta tutaj mnie w ogóle nie obchodzi! - wykrzyknął na całą ulicę.

Rzuciła mi spojrzenie pełne triumfalnej pogardy - a ja ziewnęłam. I poszłam do domu.

Od tej pory trzy razy w tygodniu chodzę do „gymnase klubu”, gdzie często promiennym uśmiechem wita mnie sam dyrektor. Uśmiech na twarzy jego żony (a zarazem asystentki) tężeje tylko wtedy, gdy biedaczka musi sprawdzić moją kartę wstępu.

I tak mam jedną babę więcej, która mnie nie znosi - i jednego więcej faceta, któremu jakoś pomogłam. A noc, którą z nim spędziłam, była niewinna - i nawet nie romantyczna.

A moje nogi już wcale nie są jak kiełbaski!



Życie jest nieustannym ciągiem zabaw!

BRAT

Jak co dzień od kilku już lat wieczorem około siódmej czy ósmej udałam się do mego baru w kulisach Casino de Paris.

Ku memu zdziwieniu obok ekspresu do kawy ktoś położył na ladzie barowej śliczną różową różyczkę. Szukałam kartki - nie było. Pomyślałam więc, że to pewnie jeszcze jeden kwiatek dla Jacques'a - tego uwielbianego przez tłumy artysty, który od wczoraj u nas występuje.

Wczoraj po premierze bar aż huczał od gości, był nawet minister kultury Jack Lang, który na mój widok zakrzyknął: „Vive la Pologne!” (no tak, już kilka razy wypił u mnie po parę kieliszków wódki). Przyszedł także Borys, dyrektor Olympii - ten, od czasu kiedy wdarłam się na scenę i na spektaklu cygańskim zaimprovizowałam jakąś baletową balladę, zawsze wita mnie serdecznie. Skądinąd lubię wykorzystywać ten zwyczaj, dzięki któremu każde ostatnie przedstawienie zespołu może być z niespodzianką, i wymyślam różne zwariowane figle.

No dobrze, ale dlaczego Jacques, objuczony górą bukietów, zapomniał akurat tej jednej, jedynej różyczki na moim barze? Wsadziłam kwiatek do wazonika z wodą i przygotowałam się do przyjęcia biesiadników.

Pierwszy przyszedł on, nasz aktualny gwiazdor. W obszernym skórzanym płaszczu, z długimi, rozwianymi blond włosami - zawsze wyglądał, jakby się strasznie spieszył.

Za nim wbiegł jego nieduży i zasapany brat. Z nigdy niegasnącym podziwem pracował dla gwiazdora jako impresario, szofer, opiekun, niemal niańka. Ale ten zdawał się nie zwracać na niego uwagi.

- Sprawdź, ile jest jeszcze wolnych miejsc na sali, a potem zajmij się listą gości, ja idę się przebierać. Aha, i nie zapomnij zamówić mi na jutro wizyty u dentysty. Zadzwoń do mojej żony, żeby nagrała mój wywiad w radiu; będzie za dwie godziny. I wyciśnij mi dwie cytryny z gorącą wodą i miodem - komenderował piosenkarz.

- Ależ panie Jacques, ja się z przyjemnością zajmę tymi cytrynami. Nie mam na razie klientów i mi się nudzi! - rzuciłam przymilnie w stronę gwiazdora.

Jacques pobiegł, a jego brat stał przy moim barze ze słodkim uśmiechem, posyłając mi najłagodniejsze spojrzenie, jakie znam.

- Pani jest naprawdę jak Madonna - wyszeptał.

- Och, bardzo bym chciała, to moja ulubiona artystka. Co za temperament i jaka skala wcieleń! Chyba jedna z najwybitniejszych artystek estradowych XX wieku, prawda?

- Ale ja miałem na myśli tę świętą... Bo pani jest taka łagodna i słodka jak Matka Boska - i począł wykonywać rozkazy brata.

Ja słodka? Wiele już rzeczy słyszałam o sobie, ale nikt mi jeszcze nie powiedział, że jestem słodka. Cholera, owszem: autorytatywna, uparta, ostra, bezwzględna. Ale słodka? I opanowana?!

Następnego dnia znalazłam trzy czerwone róże. Już zrozumiałam, że to dla mnie. Po tygodniu mój bar wyglądał jak kwiaciarnia - pęki białego, żółtego i czerwonego kwiecica zajmowały każdy wolny kącik. Z braku wazonów ustawiałam je w srebrnych wiaderkach od szampana, a potem nawet w obciętych plastikowych butelkach po mineralnej.

Brat gwiazdora chodził w tę i z powrotem przez mój bar. Bywało, że zbierał się na odwagę i podnosił na mnie wzrok - ale zaraz oblewał się floletowawym rumieńcem. No i od czasu do czasu szeptał, że jestem taka delikatna, spokojna i opanowana.

Rzeczywiście, opanowywałam się, jak tylko mogłam, by nie przemówić mu do rozumu. Bo niby co znaczą te podchody? Długo to tak będzie trwało?

Trwało okrągły miesiąc, aż do przedostatniego koncertu jego brata gwiazdora. W przeddzień ostatniego występu Jacques przyszedł do mnie, by ustalić, do której z jego piosenek mogę wyjść na scenę, a którą woli

wykonywać sam, bez niczyich tańców. Na koniec, wychodząc z baru, poprosił:

- Słuchaj, ten mój brat się strasznie maże. Chyba się w tobie zakochał. Zrób z nim coś, bo on się nigdy nie odważy pierwszy. Ja tam myślę, że on z tobą nie ma żadnych szans, ale lepiej, żebyś mu to sama wytłumaczyła. Bo będzie cierpiał.

Godzinę później przydybałam więc jego zagrożonego cierpieniem brata, gdy przemykał przez bar.

- Ciekawe, że ten ktoś, kto mi od miesiąca zostawia kwiaty, nie dodaje żadnej karteczki. Chciałabym podziękować, ale nie wiem komu...

Zalał się szkarłatnym rumieńcem i zaczął coś jąkać. Z litości postanowiłam rozładować sytuację: - Szkoda, że mam serce zajęte i nie mogę odwzajemnić tych pięknych dowodów uczuć... Ale jeśli pan chce, to możemy się kiedyś spotkać. Na przykład na kawie, żeby tylko sobie porozmawiać.

- Byłbym szczęśliwy. A może na kolację? Rozmowa potrwałaby dłużej. Błagam, jeden jedyny wieczór. I tak jutro jest ostatni koncert, a pojutrze wyjeżdżamy na dwumiesięczny objazd po Kanadzie.

Stało na tym, że zjemy tę nieszczęsną kolację jeszcze tego wieczoru, po spektaklu. Jak co dzień przedstawienie, oczywiście z bisami, trwało do północy, a potem mój bar zapełnił się znakomitymi gośćmi: znani piosenkarze, kilku dziennikarzy telewizyjnych, paru filmowców. Podawałam kawę, nalewałam wino, strzelałam radośnie korkami od szampana.

Kiedy około drugiej zrobiło się pustawo, nieśmiały brat, przyklejony od dawna do baru, zapytał:

- A może ja odwiozę Jacques'a do domu, a potem po panią tu przyjadę? Czy może woli pani udać się taksówką? Bo ja nie wiem dokładnie, o której on wyjdzie. A gdzie pójdziemy jeść?

Zaproponowałam restaurację Poule au Pot (czyli Kura w Garnku). Bywałam tam często - nocą, po spektaklach, a kiedyś też na weselu Ludwi-

ka Stommy. Restauracja otwierała się o północy i działała aż do szóstej czy siódmej rano.

Bracia poszli, ja zamknęłam bar i ruszyłam taksówką do Kury. Ku memu zdziwieniu byłam jedyną klientką. No tak: środek tygodnia, przed pierwszym, a w dodatku zaraz po świętach - stali bywalcy wypłukali się z forsy, a i chęć do ucztowania była w nich już mniejsza.

Siedziałam na skórzanej kanapce i sączyłam już drugi kieliszek aperitif, czyli szampana. Naprzeciwko mnie stało pięciu kelnerów skupionych na swej jedynej klientce niczym szachiści na królowej.

Zadzwoiła moja komórka: brat meldował, że odwiózł Jacques'a do domu, tyle że ten raptem zgłodniał i kazał się zawieźć do restauracji Maxim. Brat czeka więc w samochodzie, ale kolacja na pewno zaraz się skończy i wtedy pędem do mnie przyjedzie!

Nie byłam przekonana, czy rzeczywiście jestem tak niewiarygodnie łagodna i święta, jak myślał. Zaczęło mi burczeć w brzuchu, zamówiłam więc trzeci kieliszek szampana. Zawsze to kalorie.

Z półsnu, w który zapadłam, wyrwał mnie kolejny telefon: Jacques spotkał w Maximie kumpli po fachu i teraz jadą na tańce. Oczywiście wiozła ich moja biedna ofiara.

- Dlaczego mu pan nie powiedział, że czeka na pana kobieta? Siedzę tu już dwie godziny i mam serdecznie dosyć! Jeszcze piętnaście minut i idę do domu! - odpowiedziałam.

- Pani się zdenerwowała... Strasznie przepraszam, aleja zaraz przyjadę! Nie mogę mu nic powiedzieć, bo to moje prywatne sprawy, a przecież dla niego pracuję. Błagam, cierpliwości, już leczę!

Przyleciał po godzinie - było po wpół do czwartej. Czwarty kieliszek szampana wylał mi się na obrus, byłam nieszczęśliwa i zła. Zamówiłam tatar - i ze zmęczenia prawie wpadłam w niego nosem. A on zaczął opowiadać mi swoje życie.

Miał bardzo szczęśliwe dzieciństwo, ale potem urodził się Jacques i

wszystko diabli wzięli.

- On zawsze był ładniejszy, mądrzejszy, miał lepsze stopnie w szkole i lepsze dziewczyny - żalił się. - Ja byłem w jego cieniu, nic mi się nigdy nie udawało, nawet pracy nie mogę sam sobie znaleźć. Więc jestem na jego utrzymaniu. Wożę go, opiekuję się nim, załatwiam wszystkie jego sprawy - i co z tego mam? Kieszonkowe i dużo problemów. Czuję się ubezwłasnowolniony, ale wiem, że bez niego przepadnę. Jedyne ratunek to znaleźć sobie jakąś miłą, nieskomplikowaną, dobrą kobietę, która miałaby łagodny charakter, jak słodka i miła, jak ciepłutka pierzynka, i żyć obok niej. Czy to... nie pani?

Sprawa cieplej pierzynki absolutnie mi się nie spodobała. Wyjaśniłam mu, że mam krwawy temperament, żelazną wolę i zły charakter. Nie do wytrzymania dla normalnego chłopca.

- Ja normalny?! Już dawno powinienem iść na psychoanalizę, ale nigdy nie mam czasu, bo stale muszę być pod ręką...

Zadzwoił jego telefon: Jacques życzył sobie, by brat odwiózł dzieci do przedszkola, a przy okazji kupił rogaliki na śniadanie. Nie, nie teraz - jak się Jacques wyśpi. Nie, nie wiadomo o której! I mają być dzisiejsze gazety, bo może coś piszą o ostatnim spektaklu.

Rzucił się do wykonywania poleceń. Ledwie zdążył podwieźć mnie do domu; była za pięć siódma.

Wieczorem, przy okazji ostatniego recitalu, wylazłam na scenę i odtńczyłam skoczny taniec do jednej z piosenek Jacques'a. Przyszedł potem do mnie do baru, podziękował i stwierdził:

- Ale ty masz ikrę, Krystyna! Żywa energia, szybka jak błyskawica i silna jak zażarte zwierzę! Właśnie takiej kobiety potrzebuje mój brat! Nie mogłabyś umówić się z nim choćby na jedną kolację?

Miałam odpowiedzieć, że czekając na jego brata niedorajdę, straciłam całą noc?

- Nie, Jacques, nie mogłabym.



Zażarta dyskusja...?



Zażarta dyskusja...?

W SZWAJCARI

Działo się to pewnej parnej sierpniowej nocy, po przyjęciu urodzinowym w małej miejscowości górskiej. Gdzieś w Alpach.

Z czterdziestu zaproszonych osób większość już się pożegnała. Zostali domownicy plus kilka par przyjezdnych nocujących na miejscu.

Około trzeciej rano, jak zwykle o tej porze, duch we mnie wstąpił. Usłyszawszy sentymentalną muzykę Paola Conte, ruszyłam w samotne tany - starannie wciągając brzuch i walcząc z parującymi jeszcze ze mnie resztkami wypitego alkoholu. Czając się w półprzysiadach, wykonując nagłe, a zaskakujące nawet mnie, niespodziewane susy, próbując zachwycić zebranych gości - atakowałam na zmianę: profilem, plecami i frontem.

Zaczęło się od sugestywnego - jak mi się zdawało - machania rękami, do którego doszły wywijania ramionami na okrągło. Potem puściłam w ruch talie, żeby dać wrażenie niezależności górnej i dolnej części ciała. Biodra, jak nauczono mnie na lekcjach jazzu, wprawiłam kolistymi ruchami w leniwy krąg - i w końcu ruszyłam z kopyta! Najpierw dreptałam w miejscu, stopniowo rozruszałam się bardziej i bardziej, aż opanowałam całą wypastowaną do połysku podłogę salonu. Wpadłam w trans. Lekkie półobroty, zamieranie w bezruchu, a potem nagłe eksplozje kocich ruchów - to wszystko skupiło się w jakąś ekstatyczną cielesną skargę.

Mając dość samotnego oczarowywania widzów - wciśnięci w kąty obserwowali ze zdumieniem (myślałam, że z podziwem) te moje wywijasy - zaczęłam w końcu rozglądać się za partnerem. Najpierw lekko owinęłam się wokół pana domu, ale nawet nie drgnął. Tylko przez plecy, o które się otarłam, przebiegł lekki dreszcz rozkoszy - jak u misia obudzonego ze snu.

W półmroku przygaszonych lamp zauważyłam sylwetkę szczupłego mężczyzny, który przysiadł na brzeжку skórzanej kanapy.

Zwinnym ruchem polującego łowcy drapieżnika błyskawicznie umieściłam się na jego kolanach. Przegięta w tył podniosłam wysoko prawą nogę - i już chciałam dołączyć do niej lewą, gdy... runęliśmy na ziemię.

Plątanina rąk i nóg, niezgrabne gramolenie się, niezręczne wzajemne przeprosiny... Czar przysł, podobnie jak kryształowy kieliszek z szampanem, który wytrąciłam mu z ręki. Po opatrzeniu ciętych ran mojej ofiary zauważyłam, że atmosfera wieczoru definitywnie zwiędła. Garstka niedobitków, pożegnawszy się pospiesznie, pochowała się w pokojach gościnnych.

W łazience zastąpiłam gruby makijaż jeszcze grubszą warstwą tłustego, lśniącego kremu przeciw zmarszczkom. W lustrze spojrzałam sobie w oczy: ech, znów się wygłupiłam... Nie było tylko pewne, czym bardziej - tym tragicznie niezgrabnym upadkiem czy szaleńczymi pląsami.

Wzdychając ciężko, poczłapałam do swojego pokoju. Lampka nocna jakoś nie chciała się zaświecić, więc zaczęłam z nią walczyć. Nawet nie zauważyłam, jak wyrósł skądś przede mną zarośnięty badył okularnik - nieszczęsna ofiara ze skórzanej kanapy. Zaraz, zaraz... czy to nie czasem dziecko państwa domu? No tak, tyle że przy naszym poprzednim spotkaniu miało pewnie jakieś czternaście lat, a teraz - pewnie ze dwa razy więcej!

Zręcznym ruchem zapalił lampkę i grzecznie się pożegnawszy, poszedł do swoich pieleszy.

Próbowałam usnąć nad książką, ale bez skutku. Zaczęłam więc gapić się przez okno na ośnieżone szczyty gór i mrugające w ciemności światełka domów, które budziły się do życia w pobliskich wsiach.

Czerń nieba zaczęła sinieć, na horyzoncie tliły się pierwsze płomyki brzasku. I kiedy tak wodziłam rozmarzonym wzrokiem we wszystkie strony, pośrodku pokoju zauważyłam jakiś dziwny, samotny, podłużny kształt. Męska skarpetka, na oko rozmiar czterdzieści sześć.

Skarpetki są jak zakochani: występują parami i trudno wytrzymują rozłąkę. Zgodnie z tą zasadą po chwili w moim pokoju po raz drugi pojawił się chudy okularnik - tym razem owinięty w ręcznik niedbale okręcony wokół bioder.

- Też nie możesz zasnąć? Mogę chwilę zostać? Pogadamy...

- Oczywiście, cieszę się - odpowiedziałam, zastanawiając się, o czym też ja mogę rozmawiać z tym chłopakiem. Chyba już nie: jak ci idzie w szkole? Może o tym, co chce robić w życiu? Albo wiem: zapytam, czy mu czasem nie zimno.

Jakoś od razu zeszło na coś innego, choć z początku to nie była rozmowa, tylko chaotyczne strzępy zdań.

Jak to jest z tą miłością? Z mego punktu widzenia, a może raczej z szeregu punktów moich odczuć, seks jest nierozzerwalnie związany z miłością. No, po prostu, mimo wielu eksperymentów w tej dziedzinie nigdy żaden pan, do którego nie pałałabym gorącym, prawdziwym uczuciem do końca życia (choć mogło urwać się gwałtownie nawet już przed pierwszym wspólnym śniadaniem), nie dostarczył mi najmniejszej emocji erotycznej.

Gdy nie jestem zakochana, to w żaden sposób nie mogę uchwycić celu ni przyczyny śmiesznych ruchów gimnastycznych ani towarzyszącej im ginekologii. Wtedy najbardziej wyuzdane pomysły akrobatyczne tudzież używanie przeróżnych części ciała niezgodnie z ich pierwotnym przeznaczeniem nie wywołują żadnej reakcji. Jak palec ginekologa badający mój lewy jajnik (prawy jest w porządku).

Moja stała, bezwzględna wierność (wobec każdego kolejnego wybranka) nie jest żadną zasługą - po prostu zaślepiona jednym samcem nie widzę i nie podejrzewam nawet istnienia innych. Stan ten może trwać od kilku godzin do trzynastu lat (jak dotąd jest to mój rekord życiowy), ale zawsze wybrany obiekt - naraz - jest jeden. Monogamia?

Tyle że to wszystko nie przeszkadza mi być w stanie pełnej gotowości - tak na wszelki wypadek. Więc kiedy jest sposobność, staram się przed każdym w miarę interesującym mężczyzną - czy to jest jeszcze dzieciak (prędzej czy później dorośnie), czy już starzec (nigdy nie wiadomo,



Kolejny sukces! Kolejne kwiaty! „Elysée Montmartre” w mojej choreografii



Chwila przerwy? Odpoczynek?
Czy poszukiwanie
nowych pomysłów?

co się w takim może obudzić) - roztoczyć cały ten mój wachlarz wdzięków fizycznych i bogactw intelektualnych.

Ta strategia zwykle działała - czego dowód siedział teraz przede mną w jednej skarpetce i wyznawał mi, że już przy naszym pierwszym spotkaniu przed laty był pod dużym wrażeniem i „zachował niezatarte wspomnienie”. Wprawdzie nie mojej osoby, lecz własnoręcznie przeze mnie upitraszonej zupy ogórkowej - ale zawsze...

Jego bystre oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Co ty mówisz?! Monogamia?! Z księżycą jesteś? Po co??? Przecież miłość i seks to dwie różne sprawy, nie muszą iść w parze. Moją cudowną żonę kocham do szaleństwa - fuzja kompletna i pod każdym względem. Przy wspólnej pracy, przy stole, w łóżku... Ale przecież nie musimy się uzależniać. Przecież jeśli ona ma miłą koleżankę, to dlaczego nie? Albo kogoś innego? Ani ja nie chcę ograniczać jej wolności osobistej, ani ona mojej. A jest osobą, dla której zrobiłbym wszystko. I z którą nigdy się nie nudzę...

Tu ziewnął wyraźnie znudzony.

Na wszelki wypadek wysunęłam erotycznie w jego stronę gołą stopkę spod kołderki. W brzasku nieźle już wstającego świtu zobaczyłam na śnieżnym prześcieradle rosochatą nogę z paznokciem wrastającym uparcie w duży palec i krwawym śladem walki z nagniotkiem na małym.

Schowałam.

Znów się rozgadał, obserwowałam rozumny wyraz jego oczu, wyrazistą mimikę, dłonie szczupłe i rasowe, o wąskich, długich palcach. Lewa kurczowo trzymała ręcznik, żeby się nie zsunął. Łagodny, niewinny, niemal dziecięcy owal twarzy kontrastował z agresywną ostrością drapieżnego profilu. Dwóch ludzi w jednym? Niewinny i cyniczny? Zakochany romantyk i wyuzdaniec hołdujący nowomodnym świństwom?

A może to ja powinnam wreszcie coś zrobić ze swoją chorobliwą pruderią? No bo właściwie dlaczego mogę rozebrać się do naga tylko po ślubie, i to najchętniej przy zgaszonym świetle?

- A jak żona wraca o szóstej rano nie wiadomo od kogo, to nie jesteś zazdrosny?

- Wykluczone! Jesteśmy oboje lojalni, uczciwi i wszystko o sobie wiemy. Żadnych kawałów! Spraw związanych z seksem nie trzeba dramatyzować. To przecież przyjemność jak każda inna, więc nie widzimy powodów, by się jej pozbawiać. Można nawet ustalić, kiedy, z kim i w jakiej formie. Przestań demonizować.

Jak to? A te ekscytujące palpacje niedomówień? A dramaturgia nieoczekiwanych zdarzeń? A to wszystko, co kryje się między wierszami? A słodka, finezyjna gra miłosna?

No cóż, widać znowu coś mi umyka, coś mnie przerasta...

Świt za oknem przerodził się w jasny dzień, psy czekały pod werandą, jakby rozeźlone, że wszyscy jeszcze śpią. Pobliskie miasteczko już wrzało.

- Może chcesz spać, już prawie ósma?

Nie chciałam absolutnie. Przecież muszę to dokładnie przemyśleć, żeby wiedzieć, czego trzymać się w życiu.

Starłam się pojąć, dlaczego spotkawszy pewnego dnia piorunującą miłość od pierwszego wejrzenia, musiałam przed jej skonsumowaniem zawiadomić o tym męża, uprzedzić go o prawdopodobnej zdradzie i prosić z miejsca o rozwód.

Roztrząsałam: dlaczego ostatnio, mimo że tak się staram, żaden z nawet najprzystojniejszych panów, którzy zabiegają o moje względy, nie może we mnie rozpaść nawet iskierki pożądania? I jakim cudem godzę to z dziką żądzą, którą pałam do pewnego Wąsatego?

Kiedy okularnik rozwodził się, jak to jest ze spotkaną o północy w portowym barze seksowną Murzynką, ja opowiadałam, jak to wyrwana

telefonem o trzeciej rano z łóżka dziesięć minut później już uczesana, umalowana, w powabnej kiecce i na szpilkach pędziłam taksówką od baru do baru, by wpaść w objęcia Wąsatego.

A potem rozwijałam swoje teorie na temat uwodzenia kobiet. Bo przecież nam nie chodzi o to, żeby usłyszeć, że mamy piękne oczy. My to wiemy, znamy nagą prawdę - prawdę bez tuszu, prawdę z kurzymi łapkami i wodorostami, które wyłazą z oczu o poranku. To, że się dowiem, że jestem śliczna (i tak nie uwierzę, znam tę z lustra) i podniecająca, nie podsyci ognia miłości.

Ja chcę być oszołomiona, a ty bądź piękny i zachwycający, diabelnie inteligentny i oślepiająco tajemniczy! Tak jak żadna baba praniem skarpetek, gotowaniem zup i wymiataniem kotów spod kanapy nie rozbudzi wulkanu namiętności, tak trudno pożądać partnera z tłustymi włosami, w zapyziałym szlafroku i z wielkim brzuchem.

Zrezygnowany okularnik, plaskając gołą stopą o podłogę, na odchodnym zalecił mi przynajmniej pół godziny snu. Zrobiła się dziesiąta piętnaście.

Obudziłam się po półgodzinie. Zupełnie trzeźwa i w formie. I z dziwnym przekonaniem, że muszę natychmiast coś zrozumieć i załatwić coś bardzo ważnego. Coś jasno zobaczyć. Postanowić. Zmienić.

On, też już przebudzony, zaserwował mi kawę. Uśmiechnął się ujmująco i zaproponował wspólną wycieczkę do pobliskiego miasteczka. Podobno na bardzo interesującą wystawę.

- Przecież ja mogłabym być twoją babcią! - palnęłam ni z gruszki, ni z pietruszki.

Podczas wycieczki kilkakrotnie obliczałam, czy rzeczywiście mogłabym być. Nie, absolutnie wykluczone! Chociaż jego matką mogłabym być śmiało.

Ale nie byłam. Na szczęście.



Tu prowadzę bal kapeluszy w Nowym Jorku. Nie miałam kapelusza, więc włożyłam na głowę majtki z podwizkami

SZWAGIER

Zadzwoił do mnie szwagier.

Znaczy ekszwagier, a nawet chyba podwójnie eks. Bo, po pierwsze, ja rozwiodłam się z Jeanem-Pierre'em, a po drugie - szwagier rozwiódł się z Linette, siostrą Jeana-Pierre'a. Już od miesiący (a może lat?) nie miałam o nim żadnej wiadomości.

- Krystyna, jutro raniutko lecę z paryskiego lotniska na wycieczkę do Egiptu. Ale samolot jest tak wcześnie, że muszę przyjechać do Paryża już dzisiaj. Mogłabyś mnie przenocować czy raczej mam zamówić hotel?

Od rozvodu mieszkałam sama w wygodnym, trzypokojowym mieszkaniu. Pieściłam się cichą nadzieją, że pewnego dnia Wąsaty, dla którego całkiem straciłam głowę, zdecyduje się ze mną zamieszkać. Na razie jednak nie dawał się ubłagać. Miał wprawdzie moje klucze, ale nigdy nie uprzedzał, czy wpadnie, kiedy wpadnie i na jak długo.

- Nie ma problemu, mam pokój gościnny. Możesz przyjechać choćby zaraz - zaproponowałam szwagrowi.

Przyjechał po dwóch godzinach z wielkim bukietem żółtych tulipanów (wiedział, że to moje ulubione?) i zaprosił mnie do restauracji. Zdecydowaliśmy się na kolację w Julien, pobliskiej świetnej knajpie specjalizującej się w tradycyjnej kuchni francuskiej. Bardzo lubiłam tu przychodzić, bo kelnerzy zawsze uśmiechali się na mój widok i witali mnie szampanem.

Tego wieczoru, lekko tym szampanem już podchmielona, słuchałam szwagra, który zalewał mnie potokiem słów. Byłam w świetnym nastroju i wszystko wydawało mi się różowe i łagodne. Nawet to, że mój Wąsaty wyraźnie bardziej interesował się swoimi samochodami wyścigowymi niż moją skromną osobą, uznałam za możliwe do zaakceptowania. Kiwałam głową i posyłałam w stronę szwagra miłe uśmiechy - w końcu to także jakaś część rodziny. Wprawdzie była, ale zawsze.

A byleż części rodziny zebrało się na wyznania.

- Byłaś w rodzinie, więc wtedy nie mogliśmy o tym otwarcie rozmawiać... - zawiesił na chwilę głos. - Ale od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, poczułem, że wiele nas łączy. Byliśmy w tej samej sytuacji, oboje dołączeni do tej samej apodyktycznej francuskiej rodziny, od której tyle nas różniło. To nie mogło długo trwać - ani mój związek, ani twój. Oni nas chcieli wchłonąć, pozbawić inności. Pamiętasz? Nawet potrawy można było chwalić tylko te, które się jadało przy rodzinnym stole. Te same poglądy polityczne dla wszystkich, ten sam model spędzania wakacji. Nienawidziłem tego i czułem, że ty też. To nas łączyło. To i ta nasza sympatia do siebie. Od pierwszego wejrzenia...

Wreszcie do mnie dotarło, co szwagier chciał powiedzieć! Przestraszona usiłowałam wyprowadzić go z błędu: nie, ja niczego takiego nie poczułam. Ta gruba starsza pani ze swoją wielką rodziną miała zamiar mnie ujarzmić? Ależ moja była teściowa zawsze była wobec mnie ciepła i przyjazna! A może byłam ślepa?

- Czy nie sądzisz - ciągnął - że teraz powinniśmy się połączyć we wspólnej walce, pokazać im, gdzie pieprz rośnie? Zresztą skoro wreszcie uwolniliśmy się od tej rodzinki, to nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy byli razem! No, chyba że masz kogoś...

Oślupiałam: być razem, żeby się mścić? I do tego ja z nim? Absurd! Po pierwsze, nie mam mściwej duszy, a zemstę znam tylko z Fredry. I za co tu konkretnie się mścić? A poza tym: tak, mam kogoś, a raczej bardzo chciałabym mieć - tyle że mój Wąsaty na razie nie chce, by ktoś go miał, i ogranicza nasze kontakty do rzadkich spotkań. Ale nie tracę nadziei.

Szwagier zmarkotniał, ale nie dawał za wygraną: powinnam mu zaufać, kobiety są słabe i nie potrafią się przyznać, że czują się bezpiecznie tylko w męskich ramionach...

Fakt: marzyłam o ramionach, ale bardziej męskich niż szwagra. Opowiedziałam mu o Wąsatym i o poczuciu winy, które prześladowało mnie od

czasu, gdy porzuciłam swojego dobrego męża. I o tym moim upodobaniu do komplikowania sobie życia: ilekroć coś już osiągnę, zaraz muszę to przekreślić, zburzyć. Tak jest i z moją pracą, i z życiem prywatnym. Tylko czekać, aż któregoś dnia się przewrócę i już się nie pozbieram.

Szwagier ziewnął szeroko. W istocie pora zrobiła się późna; byliśmy już po deserach. Inni goście też kończyli kolację. Już za pięć druga, a taksówka na lotnisko zamówiona na szóstą! Uciekamy, bo mało czasu na spanie.

Zmieniłam pościel w gościnnym, a on zaczął opowiadać, że panicznie boi się ciemności i samotności, zwłaszcza w łóżku... Żalotne, tanie chwytły - pomyślałam zrazu, ale gdy zobaczyłam jego trzęsące się dłonie i strach w oczach, złagodniałam. Podobno od dawna chodził do psychoterapeuty, ale strach na razie nie mijał.

W końcu zgodziłam się dzielić z nim wielkie łóżko w mojej czarnej sypialni. Załamany i drżący, naprawdę nie wyglądał mi na gwałciciela. Zresztą nie z takimi już dawałam sobie radę.

Położyliśmy się, każde na przeciwległym brzegu łóżka. Nastawiłam dwa budziki i zgasiałam światło, gdy wyszeptał:

- Nie zrozum mnie źle, ale czułbym się lepiej, gdybyś pozwoliła mi się dotknąć. Przynajmniej za rękę albo chociaż czubkiem pięty...

Przytknęłam lodowatą piętę do mojej stopy - i po chwili zaczął pochrapywać.

Gdzieś w oddali usłyszałam ledwie uchwytny szelest. Może to spóźniony lokator wracał po jakiejś libacji? A może to... któraś z niezapowiedzianych wizyt Wąsatego?!

Zmartwiałam. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, w co się wpakowałam: jeśli dziś Wąsaty zechce sprawić mi niespodziankę i wpadnie bez uprzedzenia, to koniec! Przecież nikt nie uwierzy, że rodzina, że szwagier, że samolot i że wspólne łóżko ze strachu przed ciemnością...

Wąsaty - wielkie i porywcze chłopisko, ten rozkosznie prymitywny samiec - na pewno nie będzie się bawił w psychoterapeutę. Przyłoży, i tyle (jasne, że nie mnie!). On tego mojego brodatego szwagra może i zatłuc!

Wysunęłam się z łóżka. Po korytarzu sączył się wąski strumień światła wydobywający się spod szpary we frontowych drzwiach. Na wszelki wypadek stanęłam przy wejściu, by spróbować zatrzymać Wąsatego. Serce kołatało mi ze strachu, lodowata posadzka ziębiła stopy. Ciężkie kroki przeskakującego po dwa stopnie mężczyzny zbliżyły się, minęły moje piętro i podudniły gdzieś wyżej.

To nie on...

Ale nie odważyłam się już wrócić do łóżka, zresztą szwagier, rozwalony już teraz w poprzek, zajął je całkowicie. Chrapał rozgłośnie jak parowóz z wyrazem błogości na rozradowanej brodzie. Śnił, że razem mścimy się na wrednej francuskiej rodzinie?

Było mi zimno i wciąż truchlałam na myśl o możliwych odwiedzinach Wąsatego. Po co godziłam się na to spotkanie? Co to za pomysł z tym noclegiem dla szwagra? Przecież od tego są hotele!

A z drugiej strony, to dlaczego po prostu nie zabiorę Wąsatemu moich kluczy i raz na zawsze nie ustalę: albo ze mną mieszkasz, albo uprzedzasz, kiedy chcesz przyjść? Niby taka stanowcza, zdecydowana, samodzielna - a tak naprawdę beznadziejnie zakochana blond idiotka.

Oba budziki zwariowały równocześnie, ale mój gość spał słodko, zaróżowiony jak niemowlę. Dopiero po długim tarmoszeniu doszedł do przytomności:

- No tak, tak... trzeba wstawać... A może bym zrezygnował z tego Egiptu i został przez tydzień u ciebie? Już dawno się tak nie wyspałem. I tak miło się nam rozmawiało wczoraj. Zgadzą się pod każdym względem, prawda, kochanie?

„Kochanie???” . A to dobre!

Słowem nie wspomniałam o mojej nieprzespanej nocy, ale szybko dałam mu do zrozumienia, że czas się rozstać. Pospiesznie się umyłam, mruknęłam coś na pożegnanie - i prawie zatrzasnęłam za nim drzwi. Po chwili dzwonek znowu się rozświergotał.

- O jejku, czegoś zapomniał?! Czego znowu chcesz?! - krzyknęłam niegrzecznie...

- A to taaak? Ja tu przynoszę rogaliki na śniadanko, a tu tak mnie witasz? - rozpromieniony Wąsaty złapał mnie w ramiona. - Ale, ale... co to za mały gruby brodacz tam na schodach? Chyba nie od ciebie wychodził o szóstej rano?

Co, może miałam mu powiedzieć, że tak? Że wylazł przed chwilą prosto z mego łóżka, że spędziliśmy razem całą noc?

- Ode mnie? Co ty mówisz? Ależ skąd!

I straciłam przytomność, więc nie pamiętam, co się potem stało...



Jakieś rozterki
jednak mną
targają



Ooo, z Jadwigą Kukułczanką i Olgą Lipińską

SKRZYPEK

Jakoś się tak dziwnie składa, że na całym świecie, w każdym, nawet najbardziej oddalonym i zagubionym kącie kuli ziemskiej, można znaleźć jakiegoś rodaka. To właśnie dzięki rozsianym tu i tam dziesiątkom znajomych z ławy szkolnej czy z licznych teatrów mogłam zaprogramować mój prywatny system zwiedzania świata.

Moje pobyty w Nowym Jorku, Londynie, Brukseli i Genewie łączą się zawsze z gością u miłych krajan. Wycieczki do Hamburga, Berlina, Wiednia, Rzymu i Montrealu też są związane z pobytem u znajomych z Polski, którzy tam osiedli na stałe. Oczywiście chętnie „odpraszam” i przyjmuję u siebie w Paryżu przybyszów z innych miejsc na kuli ziemskiej. Dzięki temu mam czyste sumienie, że nikogo nie naciągam, no i dodatkową przyjemność pokazywania innym mojego miasta, mojej rodziny i mojego życia.

Potem do takich zaprzyjaźnionych goszczących mnie znajomych dołączają ich przyjaciele, więc krąg przyjaźni się rozszerza, otwierając przede mną szansę na odbywanie nowych podróży.

Poznałam kiedyś uroczą parę rodaków mieszkających w Belgii. On - rysownik komiksów (niezwykle utalentowany, jego kolejne albumy sprzedają się jak świeże bułeczki), ona - biolog z wykształcenia zajmująca się z pasją licznymi egzotycznymi roślinkami i trójką udanych dzieci. Po paru latach pobytu w Belgii (gdzie oczywiście nie omieszkałam złożyć im wizyty) przenieśli się do Szwajcarii. Zamieszkali w ślicznej miejscowości górskiej, początkowo w zamku, a potem już we własnym, przez znajomego architekta Polaka zbudowanym domu.

Zaczęłam częściej odwiedzać Szwajcarię. Okazji nie brakowało - huczne imieniny, bale, przyjęcia znanych polskich artystów... Przy okazji poznałam między innymi: rodzinę zaprzyjaźnionego architekta, śliczną Basię z Genewy, prześmieszego pana Marka z żoną, znanego operatora Piotra mieszkającego pod Lozanną, niesłychanie aktywną w krzewieniu polskiej

kultury Danusię z Genewy, przesympatyczną parę - Zosię z Markiem - i kilkunastu innych rodaków tworzących w tym kraju zwartą polską grupę. Zmawiali się zawsze a to na świętowanie jakiejś ważnej rocznicy, a to na spektakl z udziałem polskiego artysty, a to na mikołajki czy sylwestra. Czasem były to bale kostiumowe, innym razem zaimprovizowane przyjęcia w ogrodzie, kiedy indziej zaś - wspólne podróże.

Jedną z nich był parodniowy wypad kilku tych polskich Szwajcarów do Paryża na spektakl w Comedie-Francaise reżyserowany przez Andrzeja Seweryna. Ucieszona perspektywą miłego spędzenia kilku dni w doborowym towarzystwie zaproponowałam, że sama zorganizuję im pobyt: w moim pokoju gościnnym umieszczę parę architektów, u byłego męża, mieszkającego naprzeciwko, prześpi się Basia, do przyjaciółki rezydującej w pobliżu wsadzę elektryka z żoną, a operator zamieszka u mojej - też obok mieszkającej - córeczki. Aha, miał również przyjechać jakiś skrzypek z orkiestry operowej w Lozannie - bez obaw, też powinien się zmieścić u mojej córki, mieszka na razie tylko ze swoim pieskiem, a mieszkanie ma duże.

Przyjechali! Po wstępnej eksplozji radości przystąpiliśmy do popołudniowej uczy. Radość z perspektywy czekającego nas wieczoru zaostrzyła nam apetyty, a w miarę pochłaniania kolejnych dań i otwierania kolejnych butelek humory były coraz bardziej wyskokowe. Kilka godzin później, gdy wszyscy już się najedliśmy i napiliśmy, zaczęłam sprzątać ze stołu.

W pewnej chwili, niosąc kilka półmisek, o mało nie zderzyłam się z postawnym mężczyzną dźwigającym stertę brudnych talerzy. To ten skrzypek z Lozanny. Od chwili przyjazdu głęboko patrzył mi w oczy, jakby o coś chciał zapytać...

- Czy zgodziłaby się pani zostać moją trzecią żoną? - wypalił przy zlewie.

- Oczywiście. Pod warunkiem że panu nie przeszkodzi bycie moim czwartym mężem - chlapnęłam bez wahania.

Na tym rozmowa w kuchni się nam urwała. Nie bardzo wiedzieliśmy, co to w ogóle było. Żart? A może coś, co będzie miało jakiś dalszy ciąg? Nie miałam czasu na zastanawianie się; ten dzień mijał zbyt interesująco.

Spektakl był znakomity, Seweryn, który przyjął nas w swej garderobie, przemiły, kolacja zaś w świetnej restauracji - smaczna i w iście szampańskiej atmosferze! Około drugiej w nocy przyszedł czas na kwaterowanie moich gości. Przyjaciółka przejęła jedną parę, druga rozgościła się w moim pokoiku gościnnym, Basię przekazałam byłemu mężowi, a sama postanowiłam zaprowadzić dwóch pozostałych panów do mieszkania córki. Przywitało nas rozdzierające miauczenie stęsknionego kota.

Skrzypek jakoś posmutniał i przestał opowiadać stare dowcipy, którymi częstował nas przez cały wieczór, ale złożyłam to na karb zmęczenia. Operator dzielnie sekundował mi w rozkładaniu dwóch ogromnych materaców w kącie salonu, wyszukiwaniu w szafie poduszek i pierzyn i oblekaniu tego wszystkiego w świeżą pościel. Po paru chwilach rzuciłam okiem na nieruchomego skrzyпка. Obraził się czy co?

Siedział na skraju ławy, jego nos nabrał koloru dojrzałej truskawki, w oczach Izy. Z wielkiej, całkiem już przemoczonej chusteczki zaciśniętej pod tym nosem dobywały się dziwne odgłosy.

- Dlaczego pan płacze? Coś jest nie tak, palnęłam jakieś głupstwo? - zaniepokoiłam się.

- Eee, nic takiego... Tylko jestem uczulony na sierść kota. Kiedy w pobliżu kręci się jakiś kot, od razu płaczę, bolą mnie oczy, a potem się dławię, bo nie mogę oddychać - wyznał.

Wypędziłam kocura do sypialni córki. W ślad za nim trafiła tam jego miseczka z wodą, zawartość kociej puszkki i kuweta. Kot rozwył się dramatycznie.



Jedna z przyczyn
alergii skrzypka



Kot wlał na mnie
bez uprzedzenia
i dał się
sfotografować

- To i tak niczego nie zmieni. Ja jestem uczulony na sierść kocią, a tu i tak są jej całe kłęby - wykrztusił przez Izy skrzypek, gdy wróciłam z sypialni.

Cóż było robić? Zostawiliśmy kota i operatora u mojej córki i udaliśmy się w Paryż. Było wpół do czwartej, przeszłam z chlapiącym skrzypkim na ty.

- Już wiem, zaprowadzę cię do mego eksmeża. Zawsze twierdzą, że byli mężowie są o wiele bardziej praktyczni od bieżących. Zobaczysz, mój eksio jest bardzo sympatyczny i gościnnie, do rany przyłoż. Mieszka naprzeciwko, zostawił mu na pociechę sześciopokojowe mieszkanie. Po mnie tak się zniechęcił do kobiet, że nie chce już żadnej baby. Miejsca ma więc aż za dużo i na pewno chętnie udzieli ci gościny - tłumaczyłam, wspinając się mozolnie wraz ze skrzypkim na szóste piętro.

- Grunt, że nie ma kota - rzucił mój alergik.

- Cholera... ma! Ma dwa! Dzieci mu je kiedyś skądś przyniosły - przypomniało mi się nagle.

Wróciliśmy do mnie. Oczywiście, zawsze można znaleźć pokój w jakimś hotelu, ale jak ja wtedy wypadnę przed ludźmi? To taki rewanż za wspaniałe przyjęcie w Szwajcarii? - powiedzą.

Zmieniłam pościel w mojej sypialni.

- Ty się prześpisz w moim łóżku. Będziesz miał wygodnie, mam nowy materac. A ja zwinę się na kanapce. Zresztą i tak zaraz będę wstawać, bo Seweryn zapowiedział się na śniadanie i muszę skoczyć po świeże rogaliki.

Opierał i upierał się jak osioł, chciał nawet spać na dywanie. Krakowskim targiem doszliśmy do wniosku, że najlepszym wyjściem z sytuacji jest ułożenie się obojga w moim dwuosobowym łożu pomalżeńskim.

Była czwarta dwadzieścia. Zauważyłam, że jego nos odzyskał normalny kolor, Izy obeschły, choć wciąż wydawał się niespokojny i ciężko wzdychał.

- Nie śpisz? - wyświstał przenikliwym szeptem. - No to wytłumacz mi, dlaczego ja jestem od tylu lat sam? I dlaczego nie mogę sobie znaleźć żadnej porządnej kobiety? Nikogo, kto bezinteresownie chciałby dzielić ze mną życie. Może jestem zbyt nieśmiały? Albo przeciwnie

- zbyt nachalny? A może jakiś felerny jestem po prostu i już zupełnie do niczego się nie nadaję?

- To zupełnie jak ze mną, rozumiem cię świetnie - odszeptałam.

- Nie mam pojęcia, dlaczego nikt na mnie nie leci, dlaczego nikt nie chce na mnie nawet spojrzeć. Nie jestem w końcu najgorsza: katuje się, żeby zachować linię, pracuję, zarabiam. Po co tak ciągnąć, kiedy nikogo nic to nie obchodzi? Chciałabym coś komuś zostawić, coś jeszcze przeżyć, a tu - kompletna pustka, rozpacz i samotność - rozzaliłam się nad własnym losem.

- Mojego grania i moich koncertów też nikt nie chce. Zorganizowałem własny zespół, wydaję płytę, mam duże, piękne mieszkanie i nawet okrągłą wannę z jacuzzi. A jedyną istotą, która się jeszcze cieszy, gdy mnie widzi, jest mój pies. Owszem, byłem żonaty, mam nawet wspaniałą dorosłą już córkę. Mieszka ze swoim mężem w innym mieście, ale wiem, że musi mnie bardzo kochać.

- Moje dzieci też muszą, ale nie chcą. Udaje mi się czasem zwabiać je do siebie na gołąbki, ale nie za często...

Postękiwałam tak jeszcze długo nad swoją niedolą, gdy w końcu do moich uszu dobiegło ciche chrapanie. Leżał na wznak z półotwartymi ustami.

W łazience ktoś już brał prysznic, z salonu dochodziły dziwne, słumione odgłosy. Na korytarzu minęła mnie Ludka i mrugnęła porozumiewawczo. Nie zdążyłam zapytać, o co jej chodzi, bo ktoś zadzwonił do drzwi

- pobiegła otworzyć (to Basia z naręczem kwiatów, a za nią operator z rogalikami). Wychynawszy z łazienki, świeżo ogolony architekt zaczął zapewniać mnie konfidencjonalnie, że „spał tak głęboko, że nic, ale to nic

nie słyszał" - ale i tym razem dzwonek do drzwi nie pozwolił mi się dowiedzieć, czego takiego nie słyszał. W drzwiach stała uśmiechnięta Zosia z Markiem, a za nimi - sam Andrzej. A ja w rosole. Jednym susem ukryłam się za drzwiami łazienki.

- Zaraz, zaraz zrobimy kawę, ale państwo jeszcze nie wstali - usłyszałam zaaferowane wyjaśnienia Ludki.

Z podkrążonymi od niewyspania oczami, z byle jak przygładzonymi włosami i w sfatygowanym wczorajszym makijażu wkroczyłam wreszcie do salonu. A za mną począpał lekko podpuchnięty skrzypek z Lozanny. Seweryn teatralnym gestem wyciągnął do nas szeroko ramiona: - Jakże się cieszę!

- Ja też, ogromnie - odpaliłam na wszelki wypadek. Ale, ale... właściwie o co chodzi? Dlaczego się tak cieszymy? Z czego?

A potem przez całe śniadanie musieliśmy się ze skrzypkiem tłumaczyć, że to tylko alergia pchnęła nas do wspólnego łóżka. Ale i tak moi szwajcarscy przyjaciele robili różne tajemnicze miny, domyślne grymasy i posyłali mi sekretne uśmiechy...

Ach, te ludziska!

KSIĄŻĘ CZY ŻEBRAK

Już od pół godziny siedzieliśmy w poczekalni wielkiego szpitala na ostrym dyżurze. Była ósma wieczorem i miałam nadzieję, że przyjmą nas raz-dwa, a tu kazali czekać. Rudolf narzekał, że go strasznie plecy bolą - od dawna mógł właściwie tylko leżeć, i to na brzuchu.

- To nawet nie ten mój garb, przecież tyle lat z nim żyję, i nic. Kto by pomyślał, na paryskich herbatkach tańczących wywijiałem zawsze najlepiej ze wszystkich chłopów!

Potem tonem doktora medycyny stwierdził, że to pewnie zwykłe odwapnienie, którego „ci głupi lekarze nie umieją nawet rozpoznać”. - Coś tam bredzą o raku prostaty; przecież to by mnie bolało! A tu nic, tyle że w nocy co chwilę sikam. No to co? Mogę odespać w dzień, nie mam nic do roboty.

Podziwiałam go. Znaliśmy się od dwudziestu, a może nawet i trzydziestu lat. Akurat szukałam niedrogo pracownika do remontu i znajomi mi go skądś przyprowadzili.

- A w jakim stylu to chcesz? - zapytał bez ceregieli, bo nie uznawał innej formy niż „tykanie” - Joanny d'Arc czy kosmicznym? Bo ja nie będę robił, jak nie kocham stylu.

Wyłożyłam mu moje plany: pełny remont trzech pokoi na dole, wykreowanie nowej kuchni i łazienki, przebicie się do strychu i zaadaptowanie go na dalszą część mieszkania, zrobienie tarasu na dachu. I poprosiłam o kosztorys. Zdjął wtedy ten swój nieodłączny berecik, podrapał się w głowę, po czym oświadczył:

- No, dużo roboty, to i dużo forsy. Za dół milion, za górę też milion.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że nie umie czytać ani pisać, a milion jest dla niego najwyższą wyobrażalną miarą wartości. Ale ponieważ akurat myślał o starych frankach, cena była wyjątkowo przystępna. Tyle że termin nie był możliwy do ustalenia. Mówił: - Zrobię, jak zrobię, a zapłacisz mi, kiedy będziesz miała.

I tak zaczęła się nasza przyjaźń.

Remont rozciągnął się na dobrych parę lat, ale mieszkanie - „w stylu Joanny d'Arc” - wyszło niesłychanie oryginalne: z nośnymi belkami na suficie, z własnoręcznie przez Rudolfa zbitymi ze starych desek drzwiami niczym w obronnym zamku, z ręcznie kutymi zasuwami i innymi średniowiecznymi elementami. Do tego kupiłam dębowy stół na dwanaście osób, dwie ławy, a pod powalą zawiesiłam wielkie szynki, warkocze czosnku i cebuli. Miedziane gary czekały na to, by ktoś zrobił w nich konfitury, ściany obwiesiłam drewnianymi łyżkami i świątkami z Cepelii.

Rudolf przemieszkiwał u nas, bawił się z dziećmi, jadł, co chciał i kiedy chciał. Stał się niemal domownikiem - i chyba poczuł się członkiem rodziny. A ja poczułam się za niego odpowiedzialna. I jak mogłam, starałam się pomagać mu w życiu. Bo nie był do niego najlepiej przystosowany...

Czekaliśmy z Rudolfem w szpitalu już od dobrych dwóch godzin. Po mało uważnym wysłuchaniu tego, co Rudolf miał do powiedzenia o swoich dolegliwościach, kazano nam czekać.

Przed nami przyjęto jakiegoś faceta z wypadku samochodowego, panią wijącą się w ciężowych boleściach, chłopczyka z dłonią przeciętą szkłem i faceta z naderwanym uchem... Zaraz, zaraz - przecież to Janek, mój znajomy! Jego ucho broczyło obficie krwią i miałam wrażenie, że wisiało już tylko na słowo honoru. Próbował mi bełkotliwie wyjaśnić, że chyba ktoś go napadł.

- Ile pan dzisiaj wypił?! - spytał chirurg, który zbliżył się do Janka. - Ale od pana jedzie. Jak z browaru!

Po zacerowaniu Janek oddalił się lekkimi zakosami, a Rudolf zażądał noszy. Położono go na stole; nadal miał czekać. Dochodziła jedenasta. Leżąc na brzuchu, zaczął opowiadać:

- Wiesz, moja matka była Polką, ojciec - nie wiem, bo nic mi nigdy o nim nie mówiła. Mieszkaliśmy pod Paryżem w takiej blaszanej komórce

na skrawku ziemi, który podobno do niej należał. Nigdy się nie dowiedziałem, po kim go miała.

Chciał wybudować prawdziwy dom, ale nie miał za co. Pokręcił się więc po budowach, by przynajmniej podpatrzeć, jak się to robi.

- I już wiedziałem, że najpierw trza wykopać dół, wylać betonem, i to są fundamenty.

Ze starej pralki zrobił prowizoryczną betoniarkę - i tak powoli lepił ten ich dom. Najwięcej problemów miał z dachem - „no bo jak tu kalece nosić ciężkie bele”?

- Ale że jestem geniusz, wymyśliłem taką maszynę, jakby dźwignię: ja sobie siedziałem na zydelku, kręciłem korbką, a te wielkie belki same jechały na górę. Dach położyłem, pokryłem dachówkami i wykończyłem nawet dom w środku. Ale, cholera, zapomniałem, że przed malowaniem trza w ścianach przeprowadzić druty do prądu! No to trzeba było pruć. Potem jeszcze raz pruć, na rury od wody. Ale w końcu człowiek uczy się na błędach, no nie?

Zainstalował kiedyś okna prosto w ściany, bez framug. Ciągający się jak tasiemiec remont w moim mieszkaniu kończył przy wsparciu kolejnych polskich majstrów, ale mimo to zawsze był u mnie mile widzianym gościem. Trochę się certolił, ale w końcu przyjął umówioną zapłatę.

Któregoś dnia przyszedł inny niż zawsze, bardzo zasepiony. Pobył z nami ze cztery czy pięć dni - i wreszcie przemówił:

- Matczyska już nie mam. Coś tam kwiliła całą noc, a rano już była zimna. No to poszedłem do pomocy społecznej, żeby ją pochowali. Miała przecież tylko małą rentę, a ja nic nie zarabiam, więc się należy. Dałem adres, chcieli klucze. Jakie klucze? Jeszcze nie założyłem zamków, a zresztą po co? Od małego mieszkam w tej komórce i jeszcze nikomu do głowy nie wpadło mnie odwiedzić. Tylko ty kilka razy przysłaś



U Rudolfa przy zaimprovizowanym stole wielkanocnym



Rudolf obgryza kurę, którą mu przyniosłam

z jakimiś prezentami i żarciem... Nie, na żaden pogrzeb nie pójde. Pogańskie obrzędy. Jej już nie ma, i tyle.

Dochodziła północ. I znowu przyjęli kogo innego - dwóch facetów, którzy pobili się do krwi, a teraz zgodnie leżeli na noszach. Jakiś kloszard udawał chorobę, licząc na kolację i nocleg w szpitalu, ale został odprawiony z kwitkiem.

- Ja nie jestem żebrakiem, nigdy nikogo nie prosiłem o jałmużnę. Owszem, czasem coś zrobiłem na czarno, naprawiłem furtkę, coś pomalowałem, wyremontowałem. No i dostawałem nagrody za te moje samoloty! A jedzenie spada mi z nieba. Do ogródka co chwilę wpadają mi jakieś nasiona, niedawno wyrosła mi cała grządka porów. Tyle że wdały się jakieś robale - łąziły po tych porach i je żarły. Jak je zniszczyć? Polewałem oliwą, ale stawały się jeszcze grubsze, całe lśniące! Próbowałem octem i pomogło. Zdechły!

- To miałaś od razu te pory w sosie winegret, mogłeś jeść prosto z ogródka - zazartowałam, odsuwając się trochę, bo Rudolf był przeciwnikiem zbyt częstego mycia się.

- Co się tak odsuwasz? Przecież nie śmierdzę! Ja się myję, i to często. Mam wannę w ogródku: jak deszcz napada, to biorę kąpiel.

Poszłam do okienka: jak długo będziemy czekać?! Pielęgniarka na to, że to nie jest nagły przypadek i najpierw muszą opatrzyć bardziej potrzebujących.

Pasja Rudolfa to modele samolotów. Konstruuje je bez żadnych projektów, z głowy. Rudolf zawozi je potem na swoim motorowerze na rozmaite konkursy - i zawsze zdobywa nagrody. Kiedyś jakiś facet wysiadł aż ze swego bmw, zachwycony pół szosy zajmującym modelem, i próbował negocjacji:

- Proszę pana, nie znam zupełnie tego modelu, ale jestem zachwycony, kupuję go natychmiast, cena nie gra roli, dam każdą.

Rudolf dotknięty spytał, czy właściciel bmw ma dzieci.

- Tak, syna - odpowiedział.

- Kupuję go natychmiast, cena nie gra roli, dam każdą! I co, sprzedajesz? - spytał Rudolf z zaczepnym uśmiechem.

Transakcje nie doszły do skutku.

Około czwartej rano kazano nam przygotować się do badania. Mieli nas zaraz wezwać...

Więc dalej przypominałam sobie historie Rudolfa. Po śmierci matki znalazł zwitek banknotów pod materacem, a potem następne: w słoiku z kaszą, w książeczce do nabożeństwa i wielu innych dziwacznych schowkach. Wpadł w panikę. Najpierw wsadził pieniądze do plastikowego worka i zakopał nocą w ogródku, ale zaraz potem przestraszył się, że majątek mu zgnije. Zaszył więc wszystko w swej kapocie i przyjechał w niej do mnie.

- Zrób coś. Teraz nie mogę spać. Jak zaniosę to do banku, to mnie zamkną za sam wygląd! Ty umiesz kupować mieszkania, to kup mi mieszkanie.

Wystarczyło na dwa pokoje z kuchnią. Po długich poszukiwaniach - Rudolf okazał się dość wybredny - udało mi się znaleźć odpowiednie mieszkanie, które potem odnajmował (najpierw znanemu polskiemu kompozytorowi, który sprowadził się z rodziną na stałe do Paryża). Ale chociaż co miesiąc dostawał sporo grosza z czynszu, stylu życia nie zmienił. W domu Rudolfa wciąż nie było światła ani telefonu, bo płacić za nie nie miał w zwyczaju.

Po czwartej nad ranem wreszcie wprowadzono nas do gabinetu lekarza.

- Poważne zmiany reumatyczne, artroza. I zaawansowany rak prostaty - obejrzawszy wyniki Rudolfa, które mieliśmy ze sobą, doktor nie bawił się w ceregiele. - W tym stanie pacjent nadaje się tylko do szpitala



Rudolf w swojej posiadłości



Uroczyście przebrani na premierze paryskiej opery Kaspra

geriatrycznego, ale musi mieć skierowanie. Proszę go zabrać na dodatkowe badania krwi, moczu i rentgen, a z wynikami iść do onkologa. Mogę dać miejsce najwcześniej za trzy tygodnie.

Bałam się, że za te trzy tygodnie to ja Rudolfa do szpitala już nie zaciągnę. Błagałam więc lekarza, by zostawił go od razu, ale wyrzucił nas za drzwi.

Wzięłam więc Rudolfa do siebie. Spal ubrany, w berecie i w butach. Przez kilka następnych dni woziłam go taksówkami na kolejne badania, aż w końcu oświadczył mi:

- Dość tych eksperymentów! Odwieź mnie do mnie, do mojej komórki. Kury nie mają co jeść, ogródek dziczeje. Jak chcesz coś naprawdę dla mnie zrobić, to weź ode mnie to moje mieszkanie. Ja chcę mieć święty spokój. Chcę być wolny.

Przywiozłam więc do Rudolfowej komórki zdziwionego notariusza.

Pierwszy raz w życiu dostałam coś tak cennego. Trzeba być księciem, by dawać tak królewskie prezenty.